

# KAMENIA

LUBLIN

31.VIII.1962

Nr 16 (254)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

## ROZCZYNIA

MIECZYŚLAW MOCZAR

Na tym miejscu pozwalamy sobie złożyć podziękowanie Podsekretarzowi Stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Generalowi Mieczysławowi Moczarowi, za napisanie niniejszego wspomnienia dla czytelników „Kamienia”. — Kolegium Redakcyjne

Inwazja hitlerizmu rozpoczęła się właściwie od chwili dokonania „anszłusu” przez hitlerowskie wojska, które w dniu 1 marca 1938 r. przekroczyły granicę Austrii, i przypomnieć warto, że bez oporów w ogóle, tzn. bez jednego wystrzału, w dniu 3 marca 1938 r. zajęły Wiedeń i cały kraj.

W niedługim czasie po zakończeniu inwazji, hitlerowskie fanfary ogłosiły światu o nowym zwycięstwie. Tym razem w dniu 14 marca 1939 r. armia hitlerowska przekroczyła granicę Czechosłowacji i kraj ten wysoce uprzedmiotowiony został — nazajutrz całkowicie przez wroga opanowany, a tym samym wszystko to, co czechosłowacka armia posiadała, a posiadała — uzbrojenie wysmienionej jakości, oraz wszystko to, co można było wyprodukować w nowoczesnym przemyśle czeskim, stanęło do dyspozycji hitlerowców.

Niebezpieczeństwo milowymi krokami zbliżało się do naszej Ojczyzny. Do tego momentu naród polski miał jeszcze nikłe nadzieje, że podpisany będzie pakt wzajemnej pomocy ze Związkiem Radzieckim i Czechosłowacją. Powszechnie mówiono w fabrykach, że tego rodzaju pakt może zażegnać wojnę. Ale kiedy Czechosłowacja została zajęta przez hitlerowców, a przy tej sposobności godni politywania „politycy” dali rozkaz maszerowania na Zaolzie, wtedy już niebezpieczeństwo ukazało się przed narodem w całej swej, jakże potwornej, groźbie. Od tej chwili każdy Polak zdawał sobie sprawę z tego, że następnym krajem, który stanie się ofiarą hitlerowskiego faszyzmu, będzie niewątpliwie Polska. A później? To później będzie już uzależnione od wielu okoliczności, które jak dotąd sprzyjały hitlerowcom.

W czasie pięknej wiosny 1939 r., a potem niesamowicie upalnego lata, nasi „politycy” przy lada okazji wykrzykiwali jak straganiarze, że „guzika nie oddamy”, że „nikt nam nie zrobi nigdy nic, bo z nami zawsze marszałek Smigły-Rydz”. Wiele oficerów jeździło nawet po zakładach pracy, w których organizowano kabotyńskie sceny, świętując zakupiony ze składek robotniczych CKM. Robiono pomświętko z ludzi miłujących ojczyznę. Zaś nienawiść do wrogów oraz obawę, okazywaną przez naród w przeróżnych formach, topiono w piosence, że „łotem kul kieruje zbawca Bóg”.

W ten sposób sugerowano, że Składkowski, Beck i Rydz — to ci najbliżsi, pierwsi po Bogu. Jakże drogo niestety trzeba było zapłacić za to, żeśmy moc zobaczyli tych, o których wspominam, i ich satelitów — tłoczących się na

(Dokończenie na str. 3)



Zu spotkania kosmonautów z przedstawicielami prasy. Na zdjęciu (od lewej): A. Nikołajew, J. Gagarin i P. Popowicz

## MYŚL PEDAGOGICZNA ADOLFA DYGASIŃSKIEGO

WINCENTY DANEK

**D**ZIŁALNOŚĆ Dygasińskiego na polu nauczania i wychowania jest znacznie wcześniejsza od jego pierwocin literackich. Praca nauczyciela domowego oraz właściciela i kierownika pensjonatu dla chłopców, oczywiście w znacznej większości szlacheckich, wyprzedza także pierwsze próby pisarskie w dziedzinie pedagogiki. Biorąc pod uwagę niezaprzeczalne i bogate związki wychowawczej myśli naszego pisarza z jego twórczością beletrystyczną, można zaryzykować koncepcję, że pedagog i erudyta wyzwolił w nim artystyczne skłonności, które w ogóle mogły się nie przejawiać i pozostać zatajone, gdyby nie wcześniejsza zaprawa pisarska w zakresie dydaktyki i wychowania.

Pierwsza opublikowana praca pedagogiczna Dygasińskiego to *Listy o naszym wychowaniu* (Kraków 1875—1876), surowa, nieraz w pamphletowym tonie utrzymana krytyka austriackiej szkoły w Galicji. Główne natężenie pedagogicznego piśmarstwa autora *Psychologii wychowawczej* (Warszawa 1885) trwa mniej więcej do roku ogłoszenia wymienionej pracy, gdyż po tej dacie tworzył on tylko książki dla dzieci i podręczniki szkolne, nie zaniebując publicystyki szkolno-oświatowej. Nawet ostatnia, książkowa jego pozycja dydaktyczna, *Jak się uczyć i jak uczyć innych?* (Warszawa 1889), powstała już około r. 1885. Twórczość beletrystyczną roz-

poczyna autor *Zajęca* w r. 1883. Pochłania ona wkrótce całą jego energię pisarską, staje się podstawowym, choć niewystarczającym źródłem utrzymania, gdyż dochody z niej nie potrafiły go uwolnić od konieczności angażowania się niemal co roku do funkcji nauczyciela domowego w bogatych domach ziemiańskich i burżuazji finansowej.

Jako pedagog był Dygasiński autorem 14 książek i dłuższych rozpraw, 18 podręczników i książek dla dzieci, 83 artykułów i recenzji prac z zakresu dydaktyki i wychowania, a także 18 tłumaczeń i streszczeń dzieł oraz rozpraw pedagogicznych. Dążył świadomie do przekazania szkole i nauczycielstwu polskiemu systemu pedagogicznego. Rzutował zasadnicze ideowe koncepcje z zakresu pedagogiki i wychowania, z zapalem i namilnością propagował ciekawe pomysły z dziedziny dydaktyki, rozwijając wytrwale oryginalne projekty nauczania pogładowego i tzw. nauki o rzeczach. Był gorącym orędownikiem oparcia nauczania i wychowania na naukowych podstawach psychologii, w której to dziedzinie wielokrotnie i z apostoelskim entuzjazmem głosił swoje materialistyczne credo. Jako nieodrodny syn „stulecia dziecka” wiązał cały proces dydaktyczno-wychowawczy z osobowością wychowanka i popierał swe naukowe tezy nieukrywają-

(Dokończenie na str. 6)

## Tytanowi myśli twórczej

Z PRZEMÓWIENIA PRZEWODNICZĄCEGO PWRN W LUBLINIE, MGR PAWŁA DABKA, NA OTWARCIU MUZEUM J. I. KRASZEWSKIEGO W ROMANOWIE PODLASKIM

W dniu dzisiejszym Ziemia Lubelska składa hołd Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu, Wielkiemu Pisarzowi i Wielkiemu Patriotcie, który, według sformułowania Uchwały Wojewódzkiej Rady Narodowej z dnia 18 grudnia 1958 roku, „przez swoją twórczość literacką, bogatą i wielostronną odegrał szczególną rolę w historii kultury polskiej, w dziele wychowania społeczeństwa, budzenia patriotyzmu, umiłowania ziemi ojczystej...” Oto dziś mija 150 lat od chwili urodzin tego, który wszechstronnością swoich zainteresowań i dokonanych dzieł zadziwił wszystkich. Był to nie tylko wielki pisarz, ale i artysta, poeta, krytyk, historyk, dziennikarz. Człowiek o gorącym, szlachetnym sercu.

Imię jego związane jest nierozdzielnie z Ziemią Lubelską. Urodzony 28 lipca 1812 roku, dzieciństwo spędził u dziadków Małskich we dworze w Romanowie.

Tu w atmosferze wysokiej kultury, postępowych tradycji, wśród ciekawych dyskusji i głośnej lektury dzieł ówczesnych pisarzy polskich i obcych, uczył się mowy ojczystej, historii i literatury. Tutaj zapoznał się z gwara ludową i zwyczajami ludu polskiego — wsi lubelskiej. Tu wychowywał się pod okiem prababki swojej, „Białej Pani”, jak ją zwano, otrzymując pierwsze wskazówki na drogę swego przyszłego bogatego, ale i ciężkiego życia.

Mając lat dziewięć opuścił dworek rodzinny i rozpoczął naukę w szkole w Białej Podlaskiej, później w Lublinie, wreszcie został przeniesiony do gimnazjum w Swisłoczy na Wołyniu.

Odtąd życie jego płynęło już z dala od ziemi jego dzieciństwa, ale myśl i serce pozostało jej wierne. Ziemia Lubelska znalazła swe odbicie w wielu jego dziełach z różnych okresów twórczości. „Obrazy z życia i podróży” to szkice wspomnień, między innymi i z lat dziecińczych. „Tu już w Romanowie”, pisze Kraszewski, „dzieckiem jęszcze marzyłem na przemiany o nauce, o sławie, o sztuce, miałem już jakieś przeczucie wszystkiego, przeczucie powołania...” Nie zapomniał też nigdy Kraszewski uroku Romanowa. Nawet u schyłku życia wraca często do niego myślami.

Cały świat był tu dla mnie, o innym-m nie marzył,  
Jodły cuda szumiły... przyszedł dzień rozłąki,  
Ogród na pożegnanie pleśń jakąś zaguarzył,  
Raz ostatni zakwitły i gaje i łąki,  
(Dokończenie na str. 2)



„Widzę Ziemię w chmurach. Po prawej stronie w iluminatorze bardzo czarne niebo. Samopoczucie znakomite. Wszystko idzie doskonale. Do zobaczenia na Ziemi”. Ppik. Paweł Popowicz — „Wostok 4”

Słowa jak z fantastycznej powieści. Przypominają się książki Verne'a albo współczesnego pisarza polskiego Lema.

Po powrocie na Ziemię drugi „millioner Kosmosu” Nikołajew zwierzał się: „Księżyc nie był piaski, jak go widać z Ziemi, lecz wydawał się być kulą wiszącą wśród pustki”.

Nie oswoiliśmy się jeszcze z nowoczesnymi osiągnięciami techniki i aż nie chce się wierzyć, że już teraz jest ktoś, kto może sprawdzić słowa poety:

Nie wszędzie jest tak ładnie  
jak w niebie —  
szkoda tylko, że o tym nikt nie wie,  
że to niebo jest po to,  
żeby srebro i złoto  
w nim świeciły dla ciebie co noc,  
żebyś rankiem się zbudził z nadzieją —  
właśnie po to te gwiazdy się śmieją,  
właśnie po to jest niebo,  
właśnie w niebie dlatego  
tak nocami te gwiazdy lśnią.

Ludzie pierwszej połowy XX wieku są chyba najbogatszymi w doświadczenia obywatelami Ziemi. Przeszliśmy piekło, które nie pozwala się już niczemu dziwić, a przecież zachwycamy się pięknym lotem w Kosmos.

Może są jeszcze ludzie, którzy nie widzieli pociągu, którzy nie podróżowali maszyną parową, na pewno istnieją całe osady, które nie korzystają ze zdobyczy Edisona, które nie słuchają głosu z eteru. Postęp przyniósł w życie ludzkie trudnymi drogami i nieraz wymaga ofiar. Jest mnóstwo oporów, ale każda idea wielka, każda myśl łącząca wysiłki czy marzenia wszystkich jest zdobyczą wszystkich. Mamy szczęście żyć w czasach, kiedy dokonuje się tak wiele rozmałych rewolucji.

Telefon, telewizor, film, samolot... Przykładów można byłoby wymieniać bez liku. A teraz dochodzi najwspanialsze osiągnięcie XX wieku — lot w Kosmos. Może jeszcze w swoich wyobrażeniach nie potrafimy ogarnąć wielkości tego faktu. Mimo to wszyscy: i ci, którzy korzystają ze zdobyczy najnowszej techniki, i ci, którzy jeszcze przy naftowej lampie czytają gazetę o wydarzeniach historycznych, są pełni podziwu dla radzieckich bohaterów i naprawdę są z ich czynów dumni.

Jesteśmy już w przededniu lotu na którąś z planet, na Księżyc. Bo w tych sprawach „dzień” może trwać rok, albo pięć, albo dziesięć lat. Ważne jest to, że te rzeczy dzieją się w naszych czasach. Mamy tylko małą prośbę do bohaterów Kosmosu, prośbę olbrzymich szeregów humanistów, którzy ich podziwiają, aczkolwiek nie umieją wymierzyć ich zdobyczy kategoriami technicznymi: kiedy będziecie już lecieli na Księżyc, nie zapominajcie o gałązce białego bzu, o której kiedyś wspominał Ilija Erenburg. Symbol piękna, poezji, pokoju. Niech ona będzie wyrazem naszych marzeń, które kosmonauci realizują prawie na oczekaniu.

A. L. G.



W dniu otwarcia Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie. Na zdjęciu: przewodniczący PWRN w Lublinie mgr Paweł Dąbek, sekretarz KW PZPR Stanisław Zgrzywa, rodzina pisarza, autor scenariusza Muzeum red. Antoni Trepiński oraz przedstawiciele władz powiatu włodawskiego

## Tytanowi myśli twórczej

Dokończenie (ze str. 1) przemówienia przewodniczącego PWRN w Lublinie mgr Pawła Dąbka

Jam niecierpliwą nogą w świat  
skoczył bezdenny,  
gdzie mnie czekał wicher zimny  
i pomrok jesienny.

Ciężkie borykanie się z życiem i losem, jakie mu przypadło w udziale, nie zalało tej wyjątkowo bogatej natury, człowieka niepospolitej potęgi duchowej. Był on prawdziwym tytanem pracy i pod tym względem fenomenem ludzkim. Pucieżna jego działalność może imponować. Kraszewski zostawił po sobie 346 dzieł, tomów 600, stronice druku 115.000, ogromną liczbę artykułów i rozpraw w czasopiśmie, bogaty zbiór rysunków, około 30 tysięcy listów korespondencji własnej.

Podziwiali jego płodność i współczesni. Oto co pisze o tym, w sposób żartobliwy, August Wilkoński w 1847 roku: „Gdybyś literki policzył, byłoby ich milionów kilkanaście, gdybyś atrament odwilżył, byłoby garney kilkadziesiąt, gdybyś pióra pozbił, mógłbyś tysiącem skrzydeł z Warszawy do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę, gdybyś papier zgromadził, mógłbyś w którymkolwiek z miast powiatowych wszystkie budowle z wierzchu i wewnątrz wykleić, a gdybyś wszystkie myśli na jeden zegnał rynek, byłby zgiełk, wrzask, hałas i kłótnie na mił kilkadziesiąt wystarczające”.

Kraszewski napisał więcej niż zwykły człowiek w życiu przeczytać może.

Nie ulega wątpliwości, że wkład jego dzieła w rozwój kultury polskiej w wielu dziedzinach był poważny.

W literaturze pięknej stał się on „ojcem powieści polskiej”.

najczęściej nie będą miały żadnego przygotowania zawodowego. Miasta również nie znajdują dla nich miejsca, nie są przecież z gumy.

Równocześnie jednak wieś nie ma lekarzy, agronomów, weterynarzy, nauczycieli i całej masy specjalistów z wyższym wykształceniem. Wiadomo, że młodzi magistrowie panicznie boją się wyjazdu na wieś. Gdyby nadwyżkę młodzieży nie pracującej na wsi udało się skierować na studia i uczynić z niej kadrę wysoko kwalifikowanych fachowców, problem braku pracy na wsi nie istniałby w ogóle.

Ba, gdyby... Na razie wiele pięknych agronomów świeci pustkami, ludzie chodzą do kowala wyrwać zęby. W szkołach nauczyciele padają ze zmęczenia ucząc na dwie zmiany, nie z braku lokali, tylko ze względu na szczupłą kadrę pedagogiczną.

Gdzie kryją się przyczyny małego procentu młodzieży wiejskiej na stu-

Jego rozprawy historyczno-literackie, prace krytyczne i badawcze do dnia dzisiejszego interesują naukowców.

Jego zainteresowania pradziejami Słowiańszczyzny dały cenę do dziś aktualną rozprawę „Sztuka u Słowian...”

Jego twórczość poetycka i dramatyczna, chociaż nie weszła do skarbcza trwałych dzieł literackich, podkreśla jeszcze bardziej szeroki zakres możliwości twórczych tego wielkiego pisarza i myśliciela.

Jest on jednym z najpoczytniejszych pisarzy naszej literatury, najchętniej czytany przez lud. Mimo wielkich nakładów jego dzieł, książek Kraszewskiego stale brakuje. Powieści jego są nadal potrzebne i popularne. Ocena współczesnych czytelników jest ponownym jego renesansem. Kształtowanie świadomości narodowej, zbliżenie do dzieł ówczesnych, wydobywanie piękna otaczającej przyrody, głębokie i odkrywcze wejście w duszę ludzką, budzenie sumienia ludzkiego, pokazywanie ludzkiego bohaterstwa i odwagi — oto wartości, jakie widzi czytelnik w książkach Kraszewskiego. Nie zmniejszająca się ich poczytność jest dowodem wielkości pisarza i jego głęboko moralnej postawy społecznej.

Organizując tu w Romanowie Muzeum, w miejscu, z którym wielki pisarz był związany wspomnieniami swoich lat dziecińczych, spłacamy dług wdzięczności wobec tego niestrudzonego żywota. Przypomnijmy słowa odezwę na uroczystość jubileuszową ku czci Józefa Ignacego Kraszewskiego w roku 1877: „Z długów wdzięczności człowieka najgodniejsze są te,

które płaci społeczność swym wybrancom”.

Dzisiaj składamy hołd uznania „za skarby myśli, za promienne uczucia, za niewyczerpane bogactwa obrazów i idei w setkach ksiąg” zebrane.

Znajdą one swe pomieszczenie w dawnej siedzibie rodziny Kraszewskich. Dworek ten, spalony trzykrotnie, za każdym razem stawał na nowo do życia. Dziś z popiołów powstał, ze zniszczeń wojennych i odbudowany cieszy nasze oczy swoją miłą i prostą architekturą.

Wnętrze jego wyposażone i wypełnione pamiątkami po wielkim pisarzu czyni go cennym obiektem, służącym rozwojowi nauki i kultury.

Jeszcze jeden z pomników Tysiąclecia na Ziemi Lubelskiej został uratowany i oddany w służbę społeczeństwu.

Powstaje dzisiaj pierwsze w naszym kraju Muzeum poświęcone Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu.

Tym wydarzeniem rozpoczynamy Rok Jubileuszowy Wielkiego Pisarza. Obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego, wydobywające dorobek narodu polskiego związany z postępowymi tradycjami jego historii, utrwalają wartości kultury polskiej i przyczyniają się do upowszechnienia wiedzy o Polsce.

Muzeum Kraszewskiego stwarza szerokie możliwości wielu prac i poczynają tak w dziedzinie badań naukowych, jak i ich popularyzacji — możliwość gromadzenia źródeł historycznych epoki minioniej i najnowszych materiałów badawczych, dokumentów oraz literatury współczesnej.

Muzeum ma nakreślone swoje funkcje — są tu sale muzealne, czytelnia, biblioteka, pracownia.

Tego rodzaju ośrodek muzealny, placówka kształcąca o szerokim oddziaływaniu naukowym i kulturalnym ten ośrodek myśli twórczej — powinien promieniować szeroko nie tylko na teren powiatu i województwa, ale całej Polski.

Otwierając Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego, w imieniu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie składam podziękowanie tym wszystkim, którzy przyczynili się do odbudowy i urządzenia Muzeum, które może już dziś pochlubić się wartościowymi zbiorami — dokumentami i pamiątkami po wielkim pisarzu.

Przekazując Muzeum w ręce Powiatowej Rady Narodowej we Włodawie jestem pełen nadziei, że placówka ta otoczona będzie opieką i troską o jej właściwy rozwój i że spełniać będzie wielką rolę oświatową, przyczyniając się do ożywienia życia kulturalnego Ziemi, którą tak ukochał Józef Ignacy Kraszewski.

(Dokończenie na str. 11)

# „GAUDEO” IGITUR

JACEK WOJCIECHOWSKI

Co roku tysiące kandydatów przystępują do egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie i co roku liczba młodzieży wiejskiej, której udaje się przebrnąć przez te egzaminy, maleje o 1%. Zjawisko od dawna obserwowane zaczyna obecnie osiągać niepokojące rozmiary, bez szans na jakieś radykalne zmiany.

Najbliższe lata przyniosą gwałtowny wzrost liczby młodzieży wchodzącej w wiek produkcyjny. To da znać o sobie wysoki przyrost naturalny z lat bezpośrednio powojennych. Dla wsi taki nagły przyrost rąk do pracy stanowi problem trudny do rozwiązania. Pamiętajmy, że te nowe „ręce”



WSZYSCY znają Go jako dramaturga, młodzieńca od lat, pokolenie po pokoleniu, analizowała jedną z nielicznych w literaturze międzywojennej powieści, w której wyraźnie przeprowadził linię podziału. „Kordian i cham” to nie tylko zresztą utwór literacki jak najbardziej zaangażowany, to również świetne studium socjologiczne, to historia zamkniętej epoki.

Muszę o Nim napisać, jako o Człowieku. Muszę dlatego że w ocenie wielkich, naprawdę wielkich ludzi, nie tylko to co mówią oficjalnie jest miarodajne. Nie tylko dramaty, powieści i Jego powszechnie ceniona i uznawana konsekwentna działalność polityczna na uwadniająca cechy charakteru. Są sprawy małe, małe kontakty, marginalne rozmowy i one, zdaniem moim, bodaj czy nie najlepiej świadczą o wartościach moralnych, intelektualnych, o nieznanym zdolnościach pedagogicznych, wreszcie o umiejętnościach obcowania ze zwykłymi ludźmi.

W pewnym wywiadzie udzielonym dziennikarzowi „Zarzewia” oświadczył, iż utrzymuje bezpośrednie żywe kontakty z młodzieżą wiejską poprzez Uniwersytet Ludowy w Rożnicy.

Istotnie, od tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego. Bez przerwy. Zaczęło się od przypadkowego spotkania po obejrzeniu „Niemców” i tak już trwało do końca 1961. Nie tylko zdawkowe życzenia z okazji urodzin. Nowego Roku, świąt, ale i wymiana poglądów na przeczytane książki, na nową szczególnie cenną pozycję, na przeobrażenia wsi, awans społeczny młodocianych. Zachęcał często do pisania kronik, pamiętników, sam nadawał zresztą ciekawe listy, które w kronice UL są i przetrwają długie lata. Zapraszał na następne, kolejne przedstawienia swoich wszystkich sztuk. Sumitował się, że nie na premię, pilnował osobiście, żeby wszyscy bez wyjątku (duża grupa słuchaczy) mieli dobre miejsca, a po obejrzeniu przedstawienia domagał się ostrej krytyki, iniejął rozmowę, opowiadał dzieje dramatu, myśli przewodnią, własne wątpliwości, wysiuchiwał z uwagą każdej, nawet najbardziej naiwnej refleksji, odpowiadał poważnie, nigdy nie męgatelizując, nie przyjmując tonu mentorskiego. Kiedy namawialiśmy Go, aby zgodził się na utrwalenie tych naszych rozmów na taśmie magnetofonowej, uśmiechał się sceptycznie:

— Nie mam zdolności oratorskich. Cóż? Możemy spróbować.

Po odtworzeniu arcyciekawej rozmowy, wskazywał na taśmę:

— Uprowadziłem. Chcicie to zachować? Dla kogo?

Milczeliśmy. Czy mogliśmy tu, w tym skromnym gabinecie w Alei Róż, przy tym człowieku, odpowiedzieć: dla potężności?

Były i zabawne qui pro quo.

W czasie jednej z wizyt w stolicy, delegacja młodzieży poszła z kwiatami, by wręczyć je pisarzowi, który uchoił w oczach wszystkich kolejnych roczników za opiekuna naszego UL.

Przychodzę w południe do hotelu. Ruch na obu piętrach, chłopcy pucują buty, nicują koinierzyki, dziewczęta prasują. — Co się stało? — Szlagier, proszę pana — odpowiada przewodniczący. — Kruczkowski zaprosił nas na podwieczorek — i patrząc krytycznie na moje niezaprasowane spodnie — pan niech się też przygotuje, pana też zaprosił. — Jakże? — nie wierzyłem własnym uszom, znając metraż mieszkania pisarza — wszystkich? — Yhy. Siedemdziesiąt osiem osób. — Sam powiedział? — Sam. I, naprawdę, niech pan nie marudzi. Mamy godzinę czasu, na wszystko, łącznie z podróżą tramwajem.

Pobiegłem do pokoju. Stojąc w otwartych drzwiach obserwowałem z satysfakcją uwijających się chłopaków, popędzających siebie wzajemnie, przerzucających się kwestiami z oglądanych dwóch dramatów. — Te, bracie, może nas zagiąć, nie? Jak to było z tą drugą facetką? Uważasz, że ona pozytywna? O takie rzeczy nie będzie przecież pytał. Zaprosił na podwieczorek, nie? Podwieczorek podwieczorem, ale miłość własna też ma znaczenie...

W ostatniej niemal chwili postanowiliśmy sprawdzić. A nuż jakie nieporozumienie. Chociaż... W słuchawce

głos pani Jadwigi. — Tak, oczywiście, na podwieczorek. Czy wszystkich? Rozumie się. Jasne. — Co, co pan powiedział? Ile osób? Osiemdziesiąt? To już niech ma... Pisarz jest zaambarysowany nie na żarty. Owszem, zaprosił całą delegację, jeśli jednak wszyscy chcą przyjść, to może się dać coś zrobić.

Jakoś wybrnęło się z sytuacji. Spędziliśmy wówczas kilka godzin w gabinecie pisarza. Właśnie w Rożnicy rozpoczęły się seminaria dla inteligencji terenowej. Kruczkowski wypytywał o program, doradzał wprowadzenie więcej godzin na zagadnienia związane z wychowaniem estetycznym.

W kilka miesięcy później, gdy do-

(Dokończenie ze str. 1)

szosie Warszawa — Lwów — Zaleszczyki.

W pamiętnym dniu 1 września 1939 roku po zęby uzbrojeni hitlerowcy przekroczyli granicę Polski i od tej chwili rozpoczęła się II wojna światowa.

Groźne były dla nas dni września 1939 roku. Samoloty hitlerowskie bez przerwy dudniły wysoko za chmurami nad wsią, drogami i miastami naszej krwią zbroczonej ojczyzny.

Gdzieś daleko na horyzoncie mały punkt, jeszcze nie rozpoznany, już zwiastował nam, że za chwilę drapieżca obniży swój lot i bez pardonu strzelać będzie do tłumów bezradnie leżących w kartofliskach, burakach, w przydrożnym rowie lub też skupionych w bramie domu bombardowanego miasta. I chociaż tak się działo od pierwszych dni wojny — w zasadzie bowiem nie mieliśmy swojego lotnictwa — jednak zawsze kiedy groźny punkt ukazywał się na dalekim horyzoncie, obok grozy, która gwałtownie przejmowała duszę, wdierał się jednocześnie promyk nadziei: „a może tym razem są to samoloty angielskie lub francuskie (o swoich już w ogóle nie myślano), przecież one powinny przylecieć”. I dopiero przeraźliwy huk bomb doprowadzał do rozpalonych głów świadomość, że są to samoloty z czarnymi krzyżami, niosące śmierć i zniszczenie.

Pamiętam, jak pewnego razu, uciekając z tysiącami innych idących szosą ludzi przed zwiększającymi się coraz bardziej punktami, zaległymi w rosących obok drogi burakach. Nawet kulawych ponaglano ostrymi słowami, żeby kładli się szybciej. W tak groźnej sytuacji znalazł się ktoś, kto zaczął nas gorąco przekonywać, że czuje, iż tym razem to nasze, angielskie samoloty. „Nie bójcie się, państwo!” Dopiero ogień maszynowy z lecających nad nami mессerszmitów wyjaśnił sytuację.

Piraci harcowali bezkarnie, dziesiątki razy zawracali i strzelali do ostatniej kuli.

„Na jak długo jeszcze im kul wystarczy!” — szeptały matki leżące obok swych dzieci.

Zawsze, kiedy pod odłocie zbirów wstawaliśmy z przydrożnego rowu, a działo się to po kilka lub kilkanaście razy dziennie, otaczał nas obraz nędzy i rozpacz. W burakach i kartofliskach leżały setki zabitych. Ranni błagali o pomoc. Kobiety tuląc swe dzieci pedzili jak szalone drogą naprzód.

Dziś, kiedy ktoś zastanawia się, dlaczego tak się stało, że hitlerowcy tropili nas na polach i drogach bezkarnie, warto mu dać między innymi taką odpowiedź: w czasie wybuchu wojny Polska posiadała 400 starych samolotów, z których tylko 36 można było użyć do walki z hitlerowskimi mессerszmitami i sztukasami.

Lecz mimo beznadziejnej sytuacji, nasi żołnierze i oficerowie bili się z hitlerowcami tak, jak przystało spadkobiercom naszych chlubnych tradycji wojennych, o czym wymownie świadczą niemieckie kroniki, z których widać, jak to szwadron kawalerzystów szarżował na zbliżające się niemieckie czołgi. Widzimy fragmenty bitw bez precedensu, a jednocześnie beznadziejnie tragiczne. Sercu bliskie, a jednocześnie jakże bolesne.

Oto jakie siły hitlerowskie przekroczyły granicę Polski: 58 dywizji i 2 brygady, w tym 6 dywizji pancernych (i 8 zmotywowanych) leżących ponad 1,5 mln. ludzi, ponad 2500 czołgów i około 2000 samolotów.

Polska zaś przeciwstawiała wyżej

wiedziala się o powstaniu grupy „Ponidzie”, cieszył się szczerze, kiwał głową, powtarzał kilkakrotnie:

— Tak być powinno. Nie martwcie się, jeśli będą im zarzucać dyktando. Ważne, żeby mieli dobrą opiekę, właściwe kierownictwo, żeby pracowali systematycznie. Wszystko się ułoży. Cieszę się, że to właśnie w Kieleckiem. Może kiedyś wypełnią lukę, stworzą grupę twórczą, poważną.

We wszystkich listach dopytywał się później o pracę grupę, o wyniki, przyrzekał, że przyjedzie, porozmawia z każdym.

Posyłałem Mu później „Kamień”, kwitował każdy numer, wykazywał zrozumienie jej początku, troskę o rozładowanie opieki nad młodymi twórcami.

Interesował się żywo sprawami osobistymi słuchaczy. Nigdy nie odmawiał pomocy, kiedy chodziło o interwencję, o przyspieszenie załatwienia nabrzmiałej sprawy. Przejmował się tak dalece, że później zaniechaliśmy przedstawiania Mu tych małych codziennych kłopotów. Odosiliśmy wrażenie, że czuje się odpowiedzialnym

wspomnianym siłom niemieckim 35 dywizji piechoty, 1 dywizji kawalerii, 12 brygad kawalerii, 900 czołgów i 400 samolotów, o których już wyżej wspominałem.

Są to tylko dane dotyczące liczebności sił. Sytuację armii polskiej pogarszał fakt, że sprzęt wojskowy znacznie ustępował w jakości sprzętowi armii hitlerowskiej. Szczególnie odnosi się to do dział, czołgów, samolotów i broni maszynowej.

W czasie trwania działań wojennych, tj. w czasie miesiąca września poległo 644 tysiące walczących Polaków.

27 września, mimo poświęceń i ofiar, wojna z Polską właściwie została zakończona. Rozpoczął się nowy okres w historii naszego narodu, najtrudniejszy ze wszystkich, jakie mieliśmy na tysiącletnim szlaku.

## ROZMOWA

Na temat prześladowań i okrucieństw, jakie spotkały nasz naród w tym okresie ze strony hitlerowskiego okupanta, szerzej rozwiódł się nie będę. Poza pokoleniem, które przyszło na świat po roku 1945 wszyscyśmy przecież przeżywali okupację i każdy z nas wyniósł z niej własne, ciężkie doświadczenia. Pragnę natomiast powiedzieć o walce naszego narodu, której pierwsza iskra rozpałała się na Ziemi Lubelskiej.

Słowo Lubelszczyzna, kiedy setki kilometrów na wschód od Bugu toczyła się nie notowana w dziejach walka — słowo Lubelszczyzna wymawiane było przez mieszkańców wsi i miast z powagą, nadzieją i wiarą, z entuzjazmem. Przez Niemców zaś słowo Lubelszczyzna wymawiane było z ukrytym dreszczykiem niepokoju, później już z bojaźnią, a jeszcze później, nawet z trwogą.

Z tych właśnie, a nie innych powodów, nadalimy Lubelszczyznę w okresie potwornych dni okupacji najwyższą rangę, nazywając ją kolebką ruchu partyzanckiego.

Pamiętam, jak starzy komuniści i założyciele Partii mówili w owych dniach o walce, która się na Ziemi Lubelskiej z dnia na dzień jak płomień rozpałała. Zawsze byli oni przekonani, że hasło naszej Partii — bezwzględna walka z okupantem — poniosą mieszkańcy Lubelszczyzny do wszystkich chat, że pedzić będą bez wstęchnienia hitlerowskich najeźdźców. Hasło bezwzględnej walki coraz szerzej zataczało kręgi po całej ujarzmionej ziemi polskiej, jednak Lubelszczyzna, sąsiadka walczącej Białorusi, pierwsza wydała okupantowi bój w sposób zorganizowany. Z każdym dniem stawała się dla okupanta bardziej groźna, dla kraju zaś coraz lepszym organizatorem walki, przykładem dla innych terenów.

Dziś, po wielu latach, można bez wahania powiedzieć, że Lubelszczyzna odegrała taką rolę w walce z hitlerowskim okupantem, jaką odgrywa zawsze pierwszy. Wczoraj pierwszy żołnierz i jego oddział zachęcał innych do walki z wrogiem. Dziś każdy Polak milijony ojczyznę zachęca innych do walki o wydobycie nowych wartości dla Kraju, w fabrykach, kopalniach, hutach, laboratoriach, na roli i w szkole. Wszędzie tam, gdzie mowa polska rozbrzmiewa. W bitwie tej błądzą udział setki ty-

za wszystkie niedociągnięcia i mało-duszość naszych biurokratów.

Nie znosił okragłych, wypolerowanych odpowiedzi. Kiedyś zapytał, na czym polega właściwie reorganizacja działających dziś uniwersytetów ludowych, czym różnią się od przedwojennych. Odpowiedziałem krótko: „Przystosowały się do potrzeb i wymagań nowoczesnej wsi”. Milczał dłuższą chwilę, medytował nad czymś, wreszcie poprosił stanowczo, aby mu to dokładnie wyjaśnić i przytoczyć kilka żywych przykładów. — „A poza tym, proszę, nie używajcie sloganów, zgoda?”

Kiedy opowiadałem o pedzie młodzieży do mechanizacji, o motorach, od których aż ślany chałup pękają na kieleckiej wsi, śmiał się, ale zaraz zapytał:

— A co czytają? Czy troszczyli się o treści ich nowego życia? Co robią w wolnym od zajęć czasie?

Dzieje pewnego młodzieńca, który miał ekscentryczne pomysły, burzliwe dzieciństwo i po mistrzowsku or-

(Dokończenie na str. 10)

siący ludzi pracy i nauki. Pierwszych jednak zawsze wyróżniamy.

Warto jeszcze podkreślić, że lubelskie wsi żyły i odziewały nie tylko oddziały nasze — mam tu na myśli oddziały AL, BCh i AK — ale również oddziały partyzantki radzieckiej. I tak samo jak my, tak również Iwan i Alosza posiadali swoje partyzantki „Ciutki”, które cieszyły się z ich zdrowia, opłakiwały zaś ich serdecznie, jak rodzonych synów, jeśli poległ w walce. „Ciutki” i „Matki” lubelskie opłakiwały bohaterów lata całe i dziś jeszcze każda pamięta swego Janka czy Aloszka.

Kto w latach okupacji wierzył w zwycięstwo Armii Radzieckiej i jej sojuszników, ten niewątpliwie zdawał sobie sprawę z tego, że kiedy Polska z pożarów i zgliszcz wyjdzie wolna, to pierwsze jej zęby powstaną właśnie na Ziemi Lubelskiej. Albowiem ze wschodu, a nie z zachodu groziła hitlerowcom bezwzględna zagłada, niosąca nam upragnioną wolność.

Taki był nasz PPR-owców punkt widzenia.

Takie było nasze pragnienie, wokół którego mobilizowane były przez Partię siły postępowe naszego narodu.

Toteż, kiedy na Ziemi Lubelską wkroczył zwycięzca — żołnierz radziecki, a u jego boku wierny przyjaciel na dobrą i złą chwilę — żołnierz polski, na ich spotkanie wyszedł cały lud walczącej Lubelszczyzny, a z nim — ściślej na czele jego — szli żołnierze-partyzanci: AL-owcy, BCh-owcy, AK-owcy. Szli tak, jak żołnierze radzieccy i polscy, zmęczeni, lecz dumni zarazem, że w jakiejś mierze przyczynili się do wielkiego historycznego zwycięstwa nad barbarzyńcą hitlerowskim.

Oczywiście znaleźli się tacy, którzy nie godzili się z doniosłym faktem historycznym. Mówili oni, że tylko dzięki temu, iż Armia Radziecka wkroczyła do Polski, komuniści święcą swoje „tymczasowe” zwycięstwo.

A jak myśli dziś, po 17 latach Anders? Zacytuję jego wypowiedź, która ukazała się w grudniu 1961 roku w czasopiśmie „Oblicze Tygodnia”, wychodzącym w Londynie.

„O ile chodzi o stosunek do zachodnich Niemców, to wprawdzie Polacy pamiętają okupację hitlerowską i wymordowanie 6 milionów obywateli polskich, ale mimo to poprawa stosunków między Polską a Niemcami jest w przyszłości możliwa. Obecnie nie ma żadnej groźby dla Polski ze strony Niemiec. Choćby nawet Niemcy szli przez Polskę na Rosję, nie będą stanowili żadnej groźby dla Polski, bo będą przecież trzymanymi przez Stany Zjednoczone”.

Czytając tego rodzaju brednie nie trudno dojść do wniosku, że ma się do czynienia z osłonką gotowym z diabłem pakt podpisać przeciwko swojemu krajowi.

Mnie osobiście Anders przypomina rosyjskich kniaziów, którzy po Rewolucji Październikowej siedzieli w pałacach i w kłopotach, po których tam kłopotliwie z leżką w oku słuchając cygańskich romansów, zapytywał jeden drugiego: „Kagda my wierniomiśia na rodzinu?” Na co padała odpowiedź: „Prijdiet wajna, my na wierni telniomiśia”.

Dziś, po drugiej potwornej wojnie, kniaziołowie się zestarli, zmądrzeli i jeżeli słuchają jeszcze cygańskich romansów z leżką w oku, to na pewno już nie myślą, że przyjdzie trzecia wojna i oni powrócą na rodzinę. Niestety, Anders zestarzał się już dostatecznie, lecz nie zrozumiał tego.

Mieczysław Moczar



# Przed rokiem kulturalno-oświatowym

LEONARD CZEPIK

**N**A terenie naszego województwa od kilku lat zwraca się szczególną uwagę na rozwijanie wszelkich form oświatowych. Ulega zmianom struktura wydatków w budżetach placówek i obecnie wydatki na działalność oświatową bardzo często stanowią 50% i więcej całego budżetu. Coraz częściej wszyscy etatowi pracownicy, jak również i społeczni, zastanawiają się nad sposobami i metodami utrwalania nowych form działania.

W ostatnim roku przybyło na naszym terenie 28 uniwersytetów powszechnych i dla rodziców. Stanowi to wzrost o 33 procent. Odbyło się 276 spotkań autorskich, otwarto 42 nowe biblioteki, 70 czytelni, przybyło 20033 nowych czytelników.

Działalo 249 kin oświatowych, które wyświetliły 17131 seansów, tj. o 99,2 procent więcej niż w latach ubiegłych. Posiadanie kina oświatowego staje się ambicją środowisk. W gromadzie Pouchy w powiecie kolbuszowskim mieszkańcy z dobrowolnych składek zakupili agregat prądotwórczy, by móc uruchomić takie kino.

W województwie rzeszowskim biblioteka gromadzka staje się podstawowym ogniwem upowszechnienia kultury, ośrodkiem życia kulturalno-oświatowego wsi i miasteczek. Rośnie liczba bibliotek posiadających odpowiednie metrażowo i nowoczesnie wyposażone lokale. Coraz mniej natomiast jest lokali świetlicowych. I choć inspektorzy NIK-u malejąca systematycznie liczbę świetlic uważają za zjawisko ujemne, to jednak naturalnego rozwoju bibliotek i klubo-kawiarni nikt nie jest w stanie zatrzymać.

Nie będę podawał tu więcej cyfr ilustrujących osiągnięcia ostatniego roku. Cyfry bowiem nie zawsze są zrozumiałe.

Chodzi nam o rzecz istotniejszą, o politykę kulturalno-oświatową da-

nego terenu, o jej konsekwentną i systematyczną realizację. I choć dość często osoby przybywające do Rzeszowa są innego zdania, to ja twierdząc, że w ciągu trzech ostatnich lat potrafiłmy nie tylko wypracować główne kierunki działania, ale i konsekwentnie je realizować.

Rok 1962 był dla nas bardzo uroczysty i pracowity. W planach obchodów Tysiąclecia naszego państwa nazwana go Rokiem Ziemi Rzeszowskiej. Dużo i różnie, często po raz pierwszy o naszym województwie pisano i mówiono. Dla nas Rok był przeglądem możliwości społecznego działania różnorodnych środowisk, przychylił się do wzrostu poczucia odpowiedzialności za własne życie kulturalne, za jego dalszą przyszłość.

Przykładem najbardziej ciekawym w tej dziedzinie jest niewątpliwie powiat kolbuszowski. Podjęto tam inicjatywę przeorganizowania działalności kulturalno-oświatowej. Na przykład tam, gdzie biblioteka nie miała odpowiedniego lokalu, oparto pracę o szkołę. Lokale zostały nakładem gromadzkich rad narodowych wyremontowane, wspólnymi środkami nowoczesnie urządzone, co przyczyniło się do spopularyzowania ich wśród ludności. Działalność tak pomyślanych placówek przyniosła już w pierwszym roku pozytywne rezultaty. Poprawiła się frekwencja, ożywiły zainteresowania, a liczba spraw rozpatrywanych na kolegium karnym powiatu zmalała do połowy.

W nowym roku 1962/63 praca kulturalno-oświatowa poszerzy swój zakres, pogłębi oddziaływanie. Ponieważ posiadamy pełną sieć bibliotek gromadzkich, wysuwamy nowe zadanie — w każdej wiosce co najmniej jeden punkt biblioteczny, 500 bibliotek gromadzkich naszego województwa z dniem 1 września br. rozpocznie kolportaż książki rolniczej. Plan upow-

szechnienia książki fachowej wśród rolników został opracowany wspólnie przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną, Dom Książki i Państwowe Wydawnictwo Rolne i Leśne. Odbędzie się około 100 spotkań z autorami i redaktorami tej literatury. To winno jeszcze bardziej związać działalność bibliotek i bibliotekarzy ze środowiskiem. Chcemy ludzi przyzwyczaić do szukania rozwiązań różnych problemów przy pomocy książki.

Szczególną uwagę będziemy zwracali na upowszechnienie doświadczeń wiejskich ośrodków kulturalno-oświatowych z powiatu kolbuszowskiego, dwa inne powiaty, tj. brzozowski i debiecki po wieloletnich przygotowaniach od września br. idą w ślady powiatu kolbuszowskiego. Troskliwą opieką powinniśmy objąć rozwój kulturalny powiatów: tarnobrzeskiego, leskiego, ostrzyckiego, niżańskiego i strzyżowskiego.

We wszystkich powiatach — przynajmniej w jednej gromadzie — zorganizowana zostanie na podobnych zasadach placówka kulturalno-oświatowa.

Spodziewamy się, że z dobrymi wynikami kontynuować będą swą owocną działalność uniwersytety powszechne i uniwersytety dla rodziców. Już dziś wiadomo, że powstanie około 50 nowych placówek tego rodzaju, którym słuszny kierunek i właściwe metody pracy zapewni Zarząd Wojewódzki TWP. W dalszym ciągu będziemy do tej działalności przywiązywali dużą wagę, rozwijając współpracę z TWP.

Oczywiście, to wszystko będzie się ściśle łączyło z programem ogólnokrajowym. Treść tegorocznej pracy kulturalno-oświatowej obejmie w szerokim zakresie obchody Tysiąclecia naszego państwa z uwzględnieniem tradycji regionalnych, które w naszym województwie są szczególnie bogate i cenne.

w latach powojennych były obchodzone uroczyste jubileusze miast i rocznice kulturalne. Najbliższą z nich stała się przypadająca w roku 1958 setna rocznica urodzin najwybitniejszego poety ludu mazurskiego, Michała Kajki, która wywołała reperkusje w skali krajowej — inaugurując pierwszy obchodzony w całej Polsce „Rok Warmii i Mazur”. Ogólnopolski komitet obchodu tego „Roku”, powołany do życia z inicjatywy Związku Literatów Polskich, Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodniej i Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, postawił sobie szereg ambitnych zadań, spośród których na czoło wysunęła się budowa pomnika poety w Elku, ogłoszenie drukiem wielu publikacji regionalnych, m. in. obszernego zbioru wierszy Kajki, oraz utworzenie „Społecznego Funduszu im. M. Kajki”, przeznaczonego na popieranie badań regionalnych i pomoc stypendialną.

Manifestacją zdrowego patriotyzmu lokalnego były w roku 1960 obchody czterechsetnej rocznicy założenia miasta Olecka, które przez włączenie ich do planu obchodów „Tysiąclecia Państwa Polskiego na Białostoczczyźnie” stały się okazją do zaakcentowania jedności i nierozdzielności wsi Ziemi Mazurskiej z Macierzą.

Analogiczne uroczystości jubileuszowe w Szczytnie, Augustowie i Starych Juchach w powiecie elckim przyniosły oprócz wielu pozytywnych decyzji i przedsięwzięć gospodarczych zwiększone zainteresowanie społeczeństwa sprawami własnego regionu, co m. in. znalazło swoje odzwierciedlenie w opracowaniu kilku monografii miast-jubilatów.

Poważną rolę w uczczeniu wspomnianych obchodów odegrały miejscowe domy kultury, świetlice, kluby i biblioteki oraz studia regionalne i uniwersytety powszechne. Odczyty i prelekcje organizowane w ramach działalności sekcji historyczno-propagandowej komitetów obchodów, spotkania autorskie, wystawy książek o tematyce regionalnej; przewodników turystycznych, starych ksiąg mazurskich i kanejonów pisanych po polsku „krakowskim szryfem”, świadczących o przywiązaniu Mazurów do polskiej mowy, inscenizacje utworów dramatycznych oraz występy zespołów chóralnych i tanecznych sięgających w swym repertuarze do bogatych pokładów miejscowego folkloru — to niektóre z form popularyzacji kultury regionalnej wśród społeczeństwa.

W procesie postępującej ciągłej integracji na Mazurach poważną funkcję społeczno-wychowawczą spełniła również polska szkoła i polska książka. Jeszcze pod koniec XIX wieku Jan Karol Sembrzycki, znany etnograf, historyk i wydawca pism polskich w Ostródzie i Tyłży, zakładał we wschodniej części Mazur pierwsze biblioteczki polskie z inicjatywy poznańskiego Towarzystwa Czytelni Ludowych. Jak bardzo pożyteczna i potrzebna była ta inicjatywa i z jak przychylnym przyjęciem się spotkała ze strony ówczesnej ludności mazurskiej, świadczy słowa listu Sembrzyckiego do K. Żółkiewskiego: „Podziękuj dawcom książek z upewnieniem, że nas tu na Mazurach opuszczonych biedaków bardzo przeto rozradowali i uszczęśliwili, serca nasze duchem nowym dla języka i mowy natchnęli”.

W niespełna osiemdziesiąt lat od tej daty, po okresie wyjątkowo silnej germanizacji, terroru i pogardy dla wszystkiego, co polskie, zdołaliśmy

(Dokończenie na str. 10)

**W**IELOKROTNIENIE rozważany problem regionalizmu, jego pojęcia i praktyki, konserwatywnych i zaściankowych obciążeń, jak też potencjalnych wartości widocznych w możliwości wyzwolenia twórczej inicjatywy społecznej, jest nadal zagadnieniem żywym i aktualnym. Zwłaszcza ten ostatni walor regionalizmu wydaje się wciąż niedostatecznie doceniany, czego wyrazem były niektóre głosy w dyskusji, jaka w roku ubiegłym rozwinęła się na łamach wielu czasopism, oraz znacznie wcześniej sformułowane zastrzeżenia i obawy, upatrujące niejednokrotnie w ruchu regionalnym źródło separatystycznych, odśrodkowych tendencji.

Nieufność ta nie miała głębszych uzasadnień. Widać to szczególnie wyraźnie na przykładzie historii mazurskiego ruchu regionalnego, który rozwijał się w przeszłości w oparciu o postawę defensywną wobec niemieckiego naporu i dzięki tej postawie obronnej — sięgającej do tradycji kultury lokalnej — zdołał ocalić wiele cennych pamiątek polskości

## W KRAINIE MICHAŁA KAJKI

RYSZARD DEMBY

tych ziem i opóźnić proces germanizacji Mazurów.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w nowych warunkach historycznych postawa tradycyjna w ruchu regionalnym, bez powiązania jego zadań z aktualnymi potrzebami gospodarczymi i społeczno-kulturalnymi mieszkańców danego regionu nie miałaby głębszego sensu, jakkolwiek z drugiej strony zaznajomienie działaczy kulturalno-oświatowych, nauczycieli, członków organizacji społecznych i pracowników administracji tereno-

wej z przeszłością ziemi, na której zamieszkali po wojnie, i uzbrojenie ich w odpowiednie argumenty, umożliwiające prowadzenie równorzędnej i skutecznej walki z wszelkimi przejawami rewizjonizmu niemieckiego — jest sprawą niewątpliwie słuszną.

Na terenie trzech powiatów mazurskich: Elku, Gójdapi i Olecka (nazywanych często rejonem EGO) — włączonych administracyjnie do województwa białostockiego, zadanie krzewienia wiedzy regionalnej ukazującej historyczne prawa Polski do Mazur i Warmii oraz chlubne tradycje walki o polskość tych ziem, związane z działalnością Małeckich, Kętrzyńskiego, Sembrzyckiego, Kajki i wielu innych ofiarnych bojowników o sprawę polską na Mazurach, podjęte zostało przede wszystkim przez pracowników kulturalno-oświatowych, którzy od początku zrozumieli, że praca ta nakłada na nich dodatkowo moralny obowiązek szerzenia prawdy o przeszłości własnego regionu.

Ważnym czynnikiem wzrostu zainteresowań historią ziemi mazurskiej wśród szerokich rzesz społeczeństwa oraz okazją do ukazania dorobku



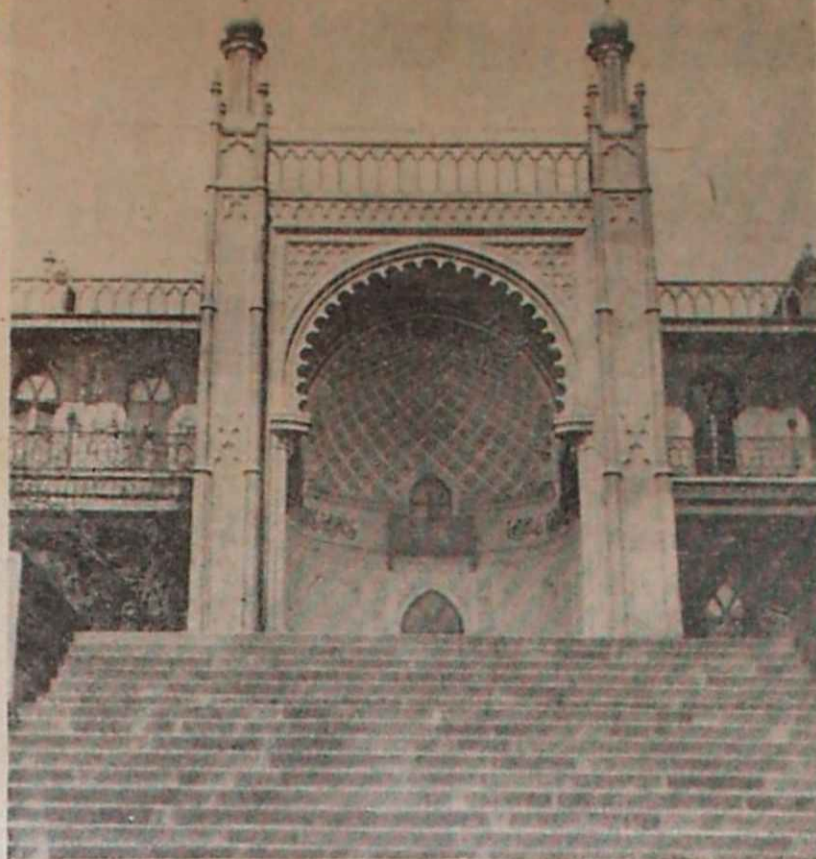
Widok miasta Elku. Rysunek: M. Ruzycy. Z tekstu „Elku” w „Czarno-białym symfonie” na str. 8.



# Jeden haust krymskiej wiosny

(3)

MARIA BECHCZYC RUDNICKA



Pałac w Alupce

„Cóż to — gotów ktoś powiedzieć — ładny haust, kiedy tu już trzeci odcinek!” Spróbujmy tedy zlikwidować dwuznaczną sytuację wyjaśnieniem, iż osiem dni spędzonych przeze mnie na Krymie kwalifikowało się do powyższej metafory jako narzucające mi odwrotne tempo obserwacji. Teraz natomiast czas nie nagli, nasza obecna, nie najlepsza pogoda letnia nie zaemila prawdziwej wiosny w Jalcie i jej okolicach, ergo...

Po tym mikrowstępie, z większą odwagą pozwalam sobie przedstawić cierpliwemu Czytelnikowi dalsze treści moich notatek turystycznych.

Jalta, Dom Litfonda\*, 4 kwietnia

Wczoraj po południu, gdy tylko słońce wykaraskało się z chmur, pośpieszyłem na promenadę nadmorską, by wyekspluować bogatą krymską przyrodę, ile się da w ciągu godziny pozostałej do zmierzchu. Morze, dotąd raczej szafirowe, zrobiło się naprawdę czarne, jedynie brzegu trzymał się równy pas zielony jak kocie oczy. Tym razem żywiołek pokazał co potrafi, atakując z drapieżnym rykiem jałtańskie nabrzeże wysokimi fontannami, od których ze śmiechem uskakiwali młodzi i starzy. Burza w słońcu. Curiosum: tęcza przewijała się po falach i tarzała po asfalcie bulwarowym zamiast eksponować się dostojnie na nieboskłoncie! Nauczywałem się do woli tej osobliwej tęczy, igraszek wody, piasów wczasowiczów, a skoro było po efekcie, powędrowałam do Domu Literatów, zerkając po drodze na wystawy sklepowe i kioski z pamiątkami.

Hm, suweniry. Jak to się mówi po rosyjsku — nie progniewajcieś... nie gniewajcie się, mili jałtańscy, ale z tym jest tu was nie lepiej niż w Kudowie czy innych naszych uzdrowiskach, tyle że tam krasnoludki, a tu zaporozcy. Pocieszywszy się refleksją, że czas da sobie radę z zagadnieniem popularnej brzydoty, otuliłam się szczylniej w szal i przyspieszyłam kroku, popędzana całkiem już prozaiczną myślą o kolacji — powietrze morskie, jak wiadomo, zaostrza apetyt.

Przy tej sposobności notuję, że jedzenie w Domu Litfonda jest znakomite. Cztery posiłki dziennie, wysokiej jakości, i jeszcze na noc dają do pokoju kubek zsiadłego mleka ze słodką bułką. Można stracić linię, oczywiście krawiecką. Potęguje rozkosze gastronomiczne przyjemne otoczenie. Olbrzymia sala jadalna, wysoka, jasna, aż bieli się od nieskazitelnych obrusów, nakrycia ładne, dziewczęta podające do stołu uprzejme. W tym wszystkim niemała załuga kierowniczką stołówek, Niny Iwanowny Markariewicz, która bez ustanku robi obchód jadalni, zbierając indywidualne życzenia. A więc nie ma „zaklętych rewirów”, nie ma laskawych bądź nie-laskawych królowien i nie ma uprzykrzonej standaryzacji kulinarnej. Każdy stół otrzymuje kartę z szerokim wachlarzem propozycji na kilka dni naprzód: goście mają wpisać przy wybranych daniach numery swoich miejsc. Gdy przychodzi moment realizacji, okazuje się... że to nie była błąka.

Dzisiaj rano wybrałam się do Liwadii. Właściwie wysiadłam z autobusu nieco dalej na zachód od Jalty — w Oreandzie. Ale i tak blisko, zaledwie trzy i pół kilometra po szerokiej, wyasfaltowanej drodze między winnicami. Z punktu widzenia gospodarczego Liwadia jest najstarszym sowchozem w wielkim winokombinacie „Massandra”. Pamięć moja przechowała fakt, że tutejsze winnice mają w rodowodzie lato-rośle z Sauternes, znad Renu, z okolic Tokaju. Zresztą wyborne wina krymskie, różne muskаты i laffity, nie są obce memu podniebieniu. Lecz nie na tym skupiłam dzisiaj uwagę. Zapoatrzona w informacje spotkanych przy budynkach kobiet, trafiłam do wysoko położonej białej rotundy-kolumnady, skąd otwierał się jeden z najspanialszych widoków na Jaltę. Po wczorajszych dąsach morza ani śladu — „Cichymi gra pierśmi rozjaśniona woda...” Tak widziało się twórcy „Sonetów krymskich” z wysokości Tarkan-

ku, przejmując mnie myśl, że odwiedził też Liwadię i Oreandę. Nie wiem, czy zawędrował tu także ten, z którym wieszcz znalazł wspólny język: wielki Puszkina (przebywał on razem z zaprzyjaźnioną rodziną generała Rajewskiego w Gurzufie, po drugiej stronie zatoki), ale krajobraz powiązał mi się w myślach z pierwszymi słowami „Rusłana i Ludmiły”: „U łukomorja dub zielonyj...” Owo łukomorje dało się porządnie we znaki tłumaczom. Pamiętam, głowił się nad nim Podhorski-Okołów, choć nie zamierzał tłumaczyć poematu. Proponowałam „u łęku morza”, lecz to rozparcelowanie ładnego wyrazu jakoś nie przypadło poecie do gustu.

Potem szłam ciągle na wysokości plus minus stu pięćdziesięciu metrów nad morzem, wygodną ścieżką. Przez bordiurę krzewów przeświecał niezmienny błękit. Poszedziałam sobie na kamiennej laweczce, medytując dość sentymentalnie nad wiosennymi sprawami przyrody i nad mianem zakątka, w którym się znajdowała Liwadia — nazwali go niegdyś nostalgicznie Grecy sprowadzeni przez faworyta Katarzyny II, Potiomkina. Liwadion czyli łąka, polana... Taki ich Nałęczów. I tu, i tam nie ma ani jednego r, co powinno się podobać Profesorowi Tutce. Cóż kiedy armaty nieraz grały tu od strony morza, a gdzie armaty, tam i krew. Tak, i oczywiście, jeżeli jakiś zjadacz ptysiów cukiernianych śmie dziś uważać lata wojen za przeszłoroczny śnieg?, to trzeba wyszukać dla niego w bogatym naszym słownictwie dość brzydki wyraz. A najbrzydsze wyrazy cisną mi się na usta, kiedy myślę o prowokacjach wojen. Zdaje się, wpadam nawet niekiedy w drugą skrajność: patrząc na urodziwy kawałek Ziemi, na cenny zabytek, na odbudowaną Warszawę, na każdy nowy gmach wzniesiony kosztem ludzkich i naderżających wysiłków — nie umiem wydestylować czystej radości z mieszania zapiekłego gniewu i nieustającego lęku o los tego, co dobre, rozumne, łagodne.

A więc widziałam Biały pałac liwadyjski. Pierwszym moim pragnieniem było zobaczyć salę obrad konferencji jałtańskiej 1945 roku. Nikt tu nie prowadzi, bo w tej części odbywa się właśnie remont. Jest to dzisiaj jadalnia sanatorium. Widziałam zdjęcie przedremontowe: elegancko nakryte okrągłe stoły, krzesła w pokrowcach. Właściwie turysta może zyskuje na stanie remontowym sali większą siłę retrospektywnego przeżycia. Przy odrobinie wyobraźni, wspomaganą znajomością popularnych portretów, można wywołać w sobie wizję uczestników narady, przywódców politycznych Wielkiej Brytanii, USA i ZSRR. Na parterze pałacu, tuż obok sali konferencyjnej, goszczono prezydenta Roosevelta.

Teraz siedzę już, po obiedzie, w swej łogii w Jalcie i robię te notatki, wertując pożyczoną z biblioteki Domu Literatów Historię Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. No i proszę: „Na konferencji nakreślono plan ostatecznego rozgromienia Niemiec, ustalając warunki kapitulacji bez zastrzeżeń. Rządy trzech mocarstw zadeklarowały niezłomną decyzję wytrzeźwienia niemieckiego militarysty i nazizmu oraz stworzenia takich gwarancji, które by nie pozwoliły w przyszłości Niemcom na naruszenie pokoju...” A to: „Rezolucje konferencji podkreślały, że dopiero wówczas, gdy nazizm i militarysta zostaną wykorzenione, można będzie spodziewać się godnego życia narodu niemieckiego i miejsca dla niego we wspólnocie narodów.”

Pomyśleć — dzisiejsza ONZ zrodziła się przecie z najlepszych intencji uczestników narady krymskiej. Ha!

Zwracając się do historii dawniejszej, notuję ciekawą dla Polaków wiadomość, że w trzydziestych latach zeszłego wieku obszar zwany Liwadią nabył hrabia Potocki. To od niego zarząd carskich apanaży odkupił tę posiadłość, bodaj w 1860 roku. Romanowowie przysłali tu swego architekta Włocha, który przerobił

skromniejszy pałac Potockich i wznosił kilkadziesiąt budynków dla dworzan, administracji i służby, liczącej blisko tysiąc osób. Dzisiejszy Biały pałac — zbudowany w stylu florenckiego renesansu z inkrustacji kamienia wapiennego, nie wymagającego ani okładzin, ani tynku — pochodzi z roku 1911.

Po Rewolucji Październikowej, a ściślej mówiąc — po rozbięciu reakcyjnych oddziałów Wrangla, Krym, na mocy dekretu Lenina o wyzyskaniu jego zalet zdrowotnych do leczenia robotników i chłopów, stał się gigantycznym rezerwuarem zdrowia ludzi pracy. Ten walor, obok walorów gospodarczych i turystycznych, decyduje o jego szczególnym znaczeniu dla kraju. Na pięknym półwyspie powstało ponad 150 sanatoriów, domów wczasowych, pensjonatów. Ich „przepustowość” w ciągu roku wynosi przeszło półtora miliona osób. Rozbudowę prowadzi się z coraz większym rozmachem. Liwadia jest najznakomitszą częścią tej całości.

Na kilka lat przed wojną władze radzieckie uczyniły z Liwadii wielki kombinat leczniczy. Poniosł on poważne straty w czasie najazdu hitlerowskiego. Niemcy wywieźli cenne wyposażenie medyczne i gospodarcze, obracając w gruzy wszystkie nowe budynki. Odbudowa i restauracja zaczęła się jeszcze w połowie 1944 r. Dziś nie ma śladu tamtych spustoszeń. W dziedzińcu nowych bloków, w estetycznie umeblowanych pokojach, co miesiąc nabiera sił około ośmiuset kuracjuszy. Jest to sanatorium o profilu kardiologicznym. Uzdrowisko posiada laboratoria i gabinety lekarskie z najbardziej nowoczesną aparaturą. Biblioteka oddana do dyspozycji kuracjuszy liczy dwaście tysięcy książek, w językach ZSRR, w języku angielskim, chińskim, francuskim, polskim i in. Chciałoby się powiedzieć: raj chorych, gdyby pojęcia „raj” i „choroba” nie były skłócone.

Przełiczny park Liwadii rozciąga się aż do brzegu morza. Oczywiście drobny żwir plaży (uważanej za jedną z najlepszych w okolicy Jalty) nie może konkurować z żółciutkim piaskiem nadbałtyckim. Ale to cudowne ciepło! Ponieważ schodzenie na brzeg i powrót na górę byłyby zbyt uciążliwe dla ludzi chorych, zorganizowano stałe dojazdy autobusem. W niedalekiej przyszłości mają zainstalować schody ruchome — eskalator.

No ale na razie eskalatora nie ma, a mnie opanowała ambitna chęć dotarcia do plaży. Zostałam wynagrodzona bezpośrednim kontaktem z morzem. Wprawdzie jest ono na Krymie wszędobylskie, w tym sensie, że nawet na odległość kilometrów wyczuwa się jego obecność, lecz w Jalcie byłam odgradzona od niego kamienną barierą, a tu mogłam dotykać go ręką... Wracając liczyłam stopnie, dla zbagatelizowania wysiłku (według mojej metody z czasu okupacji, kiedy trzeba było wspiąć się po ciemku ze schronu na czwarte piętro warszawskiej kamienicy).

Stop! Wróćmy myślami do porządku dziennego Litfonda, bo oto pora kolacji. Po niej mam umówione spotkanie z Paustowskim.

5 kwietnia, rano

Paustowscy zajmują w jałtańskim domu literatów ładnie urządzone apartamenty. Takie apartamenty z dwóch sporych pokoiów przydziela się tutaj pisarzom przyjeżdżającym z rodzinami. Pojedyncze osoby otrzymują pokoje jednoosobowe. Goszczona rodzina składa się w zasadzie z osób dorosłych. Chodzi przede wszystkim o wypoczynek i o pracę twórczą, którym obecność dzieci — tych skądinąd czarujących istot! — raczej nie sprzyja.

Aczkolwiek od kolacji upłynęło zaledwie kilkanaście minut, zastałam Konstantego Georgijewicza już przy biurku. Chętnie mówi o wrażeniach lubelskich. Napisał w liście zadedykowanym „Kamieniu”, który mi potem wręczył: „Moja młodzieńcza miłość do Lublina zrodziła się w roku 1915, a osiągnęła pełnię po czterdziestu sześciu latach, w czasie mego szesnastego pobytu w Lublinie.” Uważa Lublin za jedno z najpiękniejszych i najkulturalniejszych miast Polski. Sądzę, że nie mamy powodu upatrywać w tej ocenie zdawkowego komplementu! Konstanty Georgijewicz wspomina też mile przewodniczącego Dąbka, którego nazywa wojewodą.

Okazuje się, że w zeszłym roku, po Lublinie, trasa podróży Paustowskich objęła Kazimierz, Radom, Częstochowę, Jędrzejów, Oświęcim, Kraków, Zakopane, Gdynię, Gdańsk... W Jędrzejowie kieleckim bardzo ich zainteresowało Muzeum Słonecznych Zegarów, podobno liczbą gnomonów nie ustępujące British Museum. Pisaliśmy w tym roku w „Kamieniu” o tej oryginalnej kolekcji, dziele kilku pokoleń rodu Przypkowskich, którego obecny przedstawiciel, dr Tadeusz Przypkowski, rezydując w prowincjonalnym Jędrzejowie, współpracuje z PAN i międzynarodowymi stowarzyszeniami astronomicznymi. Oglądał też pisarz radziecki przechowywane w zbiorach Przypkowskich pamiątki rodzinne z czasów Powstania 1863 roku.

Powiedziałam Paustowskiemu, że jest bardzo popularny w Polsce. Zresztą bez wątpienia sam wie o tym, bo przetłumaczono u nas chyba z dziesięć jego książek. Teraz Konstanty Georgijewicz ma na warsztacie szósty tom swej powieści autobiograficznej, który będzie „doprowadzony do roku 1930. Równolegle pracuje nad esejem o Włochach, a kiedy to skończy, napisze większą rzecz — jakieś pięć arkuszy — o Polsce. Nosi się również z zamiarem kontynuowania „Złotej róży”, której księgę pierwszą poznaliśmy w 1957 r., w wydaniu PIW. W ogóle odnoszę wrażenie, że mimo niedawnej choroby Konstanty Georgijewicz jest w doskonałej formie pisarskiej. Bo też Tatiana Aleksiejewna otacza małżonka wzorową opieką.

6/7 kwietnia, noc

I oto moje krymskie dni dobiegają kresu. Wyjeżdżam za kilkanaście godzin. Chciałoby się powiedzieć po Goethem: „Ach, könnt ich Augenblicke sagen: verweile doch, du bist so schön...” \* Gdy pomyślę o wycieczkach, które pozostały w sferze marzeń, mam ochotę westchnąć na całkiem dziewiętnastowieczną modłę. Nie widziałam przecie Bajdar-

(Dokończenie na str. 9)

\* Funduszu Literackiego (vide „Jeden haust krymskiej wiosny” w nr nr 11 i 14 „Kamień”)

\* Czuję, że niezorientowanego Czytelnika muszę skierować do czarującej (dawno wyprzedanej!) książki Jerzego Szaniawskiego pt. „Profesor Tutka”.

\* O, gdybyżś mógł powiedzieć chwili, nie uchodzi, jesteś taka piękna...



## Poezje Emily Dickinson

\* \* \*  
Nlechte ja będę latem twym,  
gdy miną letnie dni,  
muzyką wilg, gdy lelek zmiłki  
i wilgi trył już ścichł.

Dla ciebie, duch, opuszczę grób,  
zasieję się po wierzech kwieciami.  
A ty z tego plonu kwiat anemona  
trwaj dla siebie na wieki.

\* \* \*  
Nie mogę słyszeć, że ktoś zbliżył,  
by krew nie bila młotem,  
i nagle czekam cęgię,  
gotując się do lotu.

Nigdy nie doszła mnie wieść  
o turmach  
zwalonych przez wojska zwycięskie,  
bym nie zaczęła szarpać mych krat  
i — znów nie poniosła klęski.

\* \* \*  
Choć późno, późno — wrócę do dom.  
Sam powróć stanie za nagrodę.  
Większa to będzie rozkosz pewno,  
gdy — naczekawszy się daremno —  
śród ciemnej nocy, nocy głuchej  
posłyszysz, jak ja do drzwi stuknę.  
Smakuje szczęście to inaczej,  
które nastaje po rozpaczach.

Gdy myśleć — jak zapłonął ogień,  
jak te stęsknione oczy drogie  
zgadywać zechcą, co ja powiem,  
i co odpowie na to ogień —  
to się opłaci sto lat drogi.

O ile bym już nie żyła,  
gdy gile wrócą po zimie,  
daj temu w krawcałku czerwonym  
pogrobowa okruszynę.

Jeśli cię dank ominie,  
gdy ja spać będę twardo,  
wiedz, że próbuję dziękować  
granitową wargą.

Pływacy dwaj w wyśiegu  
walczyli aż do zorzy:  
jeden z uśmiechem powrócił na ląd...  
Drugi... O wielki Boże!

Przypadkowe wdziały okręty  
twarz martwą na wodach głębokich  
z dłońmi błagalnie wyrzuconymi  
i do góry wzniesionym okiem.

### Spolszczyła

Kazimiera Illakowiczówna

Emily Dickinson, ur. w grudniu 1830, zmarła w 1886 r., długo nieznana, cieszy się dziś opinią najwybitniejszego obok Walta Whitmana amerykańskiego poety XIX wieku. W chwili obecnej poezja jej staje się specjalnie modna i ogólnie czytana. Napisała ogółem tysiąc siedemset siedemdziesiąt pięć poematów i fragmentów — wszystkie króciutkie i bez tytułu. Nigdy ich nie wykażowała ani nie robiła z nich jakiegokolwiek wyboru. Całość została wydana dopiero w 1955 roku. Poetka nie wywarła — oczywiście — żadnego wpływu i nie założyła żadnej szkoły pisarskiej. Żyła w zupełnym ukryciu w małym, prowincjonalnym miasteczku i tam umiała.

# MYŚL PEDAGOGICZNA ADOLFA DYGASIŃSKIEGO

(Dokończenie ze str. 1)

na, szczerą i serdeczną miłością do dziecka.

Nie był Dygasiński twórcą oryginalnych koncepcji pedagogicznych. Działalność swoją pojmował jako popularyzację i przekazywanie pedagogicznej myśli zachodnio-europejskiej: H. Spencera, Al. Baina i Fryd. Dittesa. Wiele tłumaczył, streszczał, referował, a całkowicie oryginalny był tylko w praktyce szkolnej i w publicystycznych kampaniach przeciwko tradycyjnemu nauczaniu oraz wszelkim formom nieuctwa wychowawczego, a dalej w przekazywaniu własnych, materialistycznych koncepcji światopoglądowych. Rozległość jego myśli cierpiała przez szczupły warsztat szkolno-doświadczalny, którym była prywatna szkoła polska w Królestwie Kongresowym, w dobie jej tepienia przez Apuchtinowskie rządy, szkoła daleka od powszechności, w społecznym zasięgu, zamknięta barierą wysokich opłat. Niewątpliwie także i pozytywistyczne doktrynerstwo Dygasińskiego uniemożliwiło mu zbudowanie rozleglejszych perspektyw w zakresie umiłowanej dziedziny, choćby wejście w kontakt z rosyjską myślą pedagogiczną, czy też nawiązanie do postępowych tradycji polskiej pedagogiki okresu Oświecenia.

Z tymi wszystkimi zastrzeżeniami nie można jednak odmówić wyjątkowej konsekwencji systemowi, który przekazywał nie tylko kołom fachowym, tj. nauczycielstwu, ale i szerokim kręgom społecznym. Po pierwsze głosił przewodnią rolę nauczania, wiedzy oraz intelektu w procesie nauczania i wychowania, ujmowanemu jako zjawisko jednolite. Intelektowi podporządkowywał uczucia i wolę wychowawczą, tworząc na ten sposób mocne, racjonalistyczne podstawy dla całości swych poglądów. Kładł zawsze silny akcent na kształcenie zmysłów dziecka, głównego źródła poznania, dostarczającego wrażeń rozumowi, tj. materiału, z którego się rodzą pojęcia i sądy, a w konsekwencji i działania. Nacisk na kształcenie sprawności zmysłowej wychowawca prowadził Dygasińskiego do oparcia całego procesu nauczania na fundamencie poglądowości, którą to zasadę dydaktyczną głosił żarliwie przez całe życie i dawał kapitalnie

pomysłowe przykłady praktycznego jej stosowania, ogłaszając drukiem konspekty lekcyjne.

Oczywistą konsekwencją przedstawionych powyżej poglądów było oparcie procesu nauczania i wychowania na podstawach psychologicznych. Jak już powiedziano, psychologia wychowawcza, dla której podręcznik opracował nasz autor, miała w ujęciu Dygasińskiego materialistyczny charakter. Ujmował życie jako jedną z form istnienia ruchu materii, ostrzegając równocześnie przed wulgaryzowaniem konsekwencji swego stanowiska. Wierzył głęboko, że tylko nauczyciel materialista potrafi właściwie kształtować zmysły dziecka, wyrabiać u niego spostrzegawczość i dar obserwacji, przekazywać wychowankowi elementy naukowego poglądu na świat. Nie ukrywał, że o taki pogląd trzeba toczyć walkę, i rzeczywiście ją prowadził, przy każdej okazji prowokując fideistycznie zorientowaną opinię publiczną oraz kościelne organy prasowe. Nie ułatwiał mu to i tak ciężkiego życia. W tej dziedzinie ukazał najwięcej apostołskiej wręcz żarliwości i polemicznego wyrobienia.

Zarysowane powyżej ogólne podstawy systemu pedagogicznego przesądzały jakość jego poglądów, jeśli chodzi o kwestie metodyki nauczania, oraz o plany i programy szkolne. Uprzywilejował tu przedmioty matematyczne i przyrodnicze, ograniczał nauczanie języków obcych, a zwłaszcza języków klasycznych, kładł nacisk na higienę i wychowanie fizyczne, proponując przy tym rozwiązania metodyczne, które dziś jeszcze zastanawiają swą oryginalnością i na które ciągle jeszcze nie możemy sobie pozwolić.

Nie rozumiał natomiast Dygasiński takich dyskutowanych już wtedy problemów, jak powszechność nauczania, a szkołą i nauczycielem rad był często widzieć jako podatny instrument w ręku klas posiadających do łagodzenia napięć społecznych. Nie byłby „prawowiernym” pozytywistą, gdyby w tym zakresie zdolał wyjść poza własne kręgi ideowe. Tam jednak, gdzie chodziło o interes dziecka i prawo do ludzkiego serca nauczyciela, tam nie istniały dla niego przedziały klasowe.

Dysponując poważną wiedzą z zakresu filozofii, nauk pedagogicznych i biologicznych nie był jednak Dyga-

siński w swym pedagogicznym piśr-  
stwie uczonym i erudytą, był nato-  
miast namiętnym, nauczycielem,  
a nade wszystko... kochał dzieci.

Związki twórczości pedagogicznej autora *Nauczania nowoczesnego* (Warszawa 1877) z jego działalnością literacką jako autora nowel, opowiadań i powieści sięgają bardzo głęboko, aż do samej istoty talentu pisarskiego. Ten racjonalista, sensualista i materialista w teoretycznych poglądach pedagogicznych odnosił się jednak z uczuciową pasją do wyznawanych i głoszonych przez siebie prawd, namiętnie bronił praw dziecka, wyszydził i wykpiwał wszelkie formy rutyniarstwa i nierzetelności w traktowaniu zawodu nauczycielskiego, atakował różne postaci kultuństwa, religianctwa i zacofania w życiu szkoły, a także w publikacjach na tematy oświatowe czy wychowawcze.

Istnieją wyraźne analogie między naszkicowaną powyżej postawą pedagoga i głównymi cechami rzemiosła pisarskiego autora *Asa*. Dygasiński wprowadzał na karty swych utworów beletrystycznych wyniki obserwacji życia ludzi i życia przyrody w postaci aurowej, bez uogólniającej i typizującej obróbki, fotografował ludzi, życie przyrody martwej i zwierząt. Element twórczej, realistycznej fikcji bardzo rzadko się zjawia w jego literackich dziełach. Istota rzemiosła pisarskiego autora *Beldonka* to naturalizm i to we wręcz wzorcowych, skrajnych przejawach, jeśli o tę właśnie stronę talentu chodzi. Był Dygasiński świetnym obserwatorem szczegółów, pojedynczych zdarzeń, zachowania się zwierząt i ludzi, ale nie starał się zasadniczo wychodzić poza obrazowanie konkretnych, poza bezwzględny autentyzm przedstawionych zdarzeń, losów ludzkich i zwierzęcych. Każda próba wyjścia poza istotę uzdolnień twórczych kończyła się porażką artysty, jak np. w tych partiach *Godów życia*, które wychodzą poza relacje z życia przyrody doliny Prądnika, czy w tego typu tendencyjnych utworach, jak powieść *W Swojczy* (1899), względnie kilka nieudolnych, modernistycznych stylizacji z końca życia. Tak typowe dla naturalistów zamilowanie do „wstydlwych” i odrażających stron życia znalazło w Dygasińskim również swego zwolennika. Wystarczy tu przeczytać powieść *Dramaty lubiąckie* (1896), względnie opowiadanie *Kuba Gąsior* (1889) lub tetralogię o Von Malkenie. Analogia z sensualistyczną stroną jego pedagogicznej teorii zupełnie wyraźna. Nauczyciel — racjonalista natomiast, kiedy się przeobraził w beletrystę, nie zapomniał uczyć, moralizować i wyklądać expressis verbis teorie naukowe i koncepcje światopoglądowe, jak zasady darwinowskiej walki o byt, teorię dziedziczności itp.

Jeśli jednak Dygasiński — pedagog był optymistą w poglądzie na świat i naturę człowieka, to Dygasiński — beletrysta przygnębiał nas beznadziejnym pesymizmem swego obrazu świata i dramatu istnienia ludzkiego, uwikłanego w ciemne moce walki o byt i prawa dziedziczności. Jedyną siłą przeciwdziałającą fatalnym wpływom przeznaczenia, płynącego z owych ciemnych mocy, widział Dygasiński w zorganizowanych wpływach wychowania i oświaty. One wyłącznie mogą się przeciwstawić beznadziejności nieszczęścia, na które skazany jest człowiek; w gorszym jest tutaj położeniu świat zwierzęcy, pożerający się w walce o byt.

Tematyka utworów literackich autora *W Kielcach* (1899) obfituje w obrazy życia szkoły, nauczyciela, w charakterystyki stosunków w różnych zakładach wychowawczych. Za przykład mogą posłużyć wspomniane co dopiero *W Kielcach*, dalej *Zasady i mięso* *Wojtusio* *nieszczęścia* (1885), *Jeszcze jeden niezdar* (1887). Co krok spotykamy w jego opowiadaniach sylwetki nauczycieli w szkole i nauczycieli domowych, stale musimy sobie przypominać, że zainteresowania naukami przyrodniczymi stoją we wyraźnym związku z piśr-  
stwem „zwierzęcym” twórcy opowiadania *Wilk, psy i ludzie* (1883).

Tak więc spuścizna literacka i pedagogiczna Dygasińskiego tworzą jednolitą, zazębiającą się i wzajemnie warunkującą całość; noszą piętno tej samej, pięknej i dramatycznej osobowości twórczej człowieka, który tak gorąco kochał dzieci, a cały świat oglądał poprzez pelen uroków krajobraz swojego Ponięcia.

Wincenty Danek

## NAGRODY WOJEWÓDZKIE

Na posiedzeniu dnia 14 br. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej przyznało nagrody wojewódzkie zasłużonym działaczom kultury i nauki. Nagrody w wysokości 10 tys. zł każda otrzymali:

1. PROF. DR FELIKS ARASZKIEWICZ za popularyzację postaci Bolesława Prusa i prace inicjatorskie na rzecz założenia Muzeum pisarza w Nałęczowie.

2. PROF. DR MARIAN CHOMIAK, z Wyższej Szkoły Rolniczej za osiągnięcia w popularyzacji wiedzy weterynaryjnej.

3. WACŁAW CZECH, kierownik Muzeum Kraszewskiego w Romanowie, za prace organizacyjne przy zakładaniu tego muzeum.

4. STANISŁAWA GOGOŁOWSKA, redaktor „Sztandaru Ludu”, za całokształt pracy dziennikarskiej.

5. STANISŁAW OCHMAŃSKI, dyrektor Teatru Łalki i Aktora, za osiągnięcia organizacyjne na terenie tej placówki i popularyzację sztuki lalkarskiej wśród społeczeństwa lubelskiego.

6. PROF. DR MIECZYSLAW KACZYŃSKI, kierownik kliniki w Abramowicach, za osiągnięcia w leczeniu nerwowo i psychicznie chorych.

7. STANISŁAW NAMYSŁOWSKI, dyrektor i dyrygent Włościańskiej Orkiestry w Zamościu, za osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania muzyki ludowej.

8. PROF. DR GRZEGORZ SEIDLER, rektor UMCS, za prace naukowe z dziedziny teorii państwa i prawa oraz osiągnięcia w rozwoju uniwersytetu.

9. STEFAN DYLEWSKI, KAROL WESTFAL i HENRYK WIERCIEŃSKI — za całokształt pracy w dziedzinie plastyki.

10. CHÓR WYŻSZEJ SZKOŁY ROLNICZEJ — za upowszechnianie pieśni polskiej w okresie 10-letniej działalności tej placówki.



Laureat Nagrody Literackiej  
Feliks Araszkievicz

## JANUSZ LASKOWSKI

### Opisywanie celnika

Cyganka drzemie w ogniu  
obok cyganki gitara  
lew ogon w zenit podniósł  
wyżej księżyc po prawicy  
zółcienie pofalowane  
na planie trzecim — sahara

cyganka śpi pod nlebem  
jak sacharyna w pudełku  
a Celnik z prawej i z lewej  
maluje sen po ciemku \*.

\* Wiersz powstał pod wrażeniem obrazu Henryka Rousseau (zwanego Celnikiem), „Spiąca cyganka” (Przyp. Redakcji).



**K**TOKOLWIEK przeczytał „Kuzynka Ponsa” Balzaka, wie da jakiego stopnia rozszerza się świat i jakiego smaku nabiera życie w otoczeniu dzieł sztuki nagromadzone w ciągu wielu lat. Ważę się na twierdzenie, że kolekcjonerstwo jest cechą w pewnym stopniu wrodzoną każdemu człowiekowi, tylko jego rozwój jest uzależniony od okoliczności i warunków mniej lub bardziej sprzyjających.

Dzieci zbierają wszystko. Papierki, sreberka, wstążki, muszelki, wszystko co się błyszczy, jest kolorowe, użyteczne i nieużyteczne. Zbierają nieświadomie, gromadząc dookoła siebie przedmioty, które pobudzają ich wyobraźnię i zarazem ją konkretyzują. Na zasadzie kolekcjonerstwa rozszerza się i wzbogaca nasz język ojczysty, jak również język obcy, który poznajemy. Pisarze, lowcy słów, gromadzą w swojej spiżarni olbrzymie zapasy. Typowym kolekcjonerem był Tuwim. Grzebał w słownikach, starych rocznikach, słowom zamierzonym dodawał świeżości i barwy, które w jego poezji nabierały życia i polotu.

## KOLEKCJO- NERSTWO

IRENA PARANDOWSKA

Kolekcjonerstwo powstaje na gruncie emocjonalnym. Jest taką samą pasją jak miłość. Człowiek, który wchodzi w jego orbitę, jest zdolny wyrzec się wszystkiego. Ludzie typu „Kuzynka Ponsa” umierają z głodu, a nie po bywają się płótna, które mogły im zapewnić wieloletni dobrobyt. Ta wielka pasja która często zamienia się w manię, nie zawsze przesądza o guście i znanostwie danego osobnika. Spotykałam snobów pyśniących się swym bogactwem, z którego wynikał jedynie chaos i nużący bric à brac. Na całym świecie handlarze polują na takich. Jest to szczególnie rodzaj przyjemności nabrać faetę, który oprócz nabitej kasy nie posiada ani fantazji ani znajomości stylu danej epoki. Jakże to kupiec odebrałby sobie tę satysfakcję, sam będąc często świetnym konserwem — żeby wydrwić nieuctwo i snobizm swego klienta, podsuwając mu dzieło wątpliwej wartości.

Niepodobna wymienić wszystkiego, co ludzie zbierają. Mieszkaliśmy kiedyś w Rzymie u konsula Brodzkiego, który miał wspaniałą kolekcję perfum. W specjalnie na to przeznaczoną szafkę ustawione były flakoniki i pudełeczka z etykietami najwytworniejszych firm, wówczas już nie istniejących. Pan Brodzki, który jako dyplomata przebywał długi czas na Dalekim Wschodzie, posiadał kilka skrzyń cudownych tkanin i kaszmirów o barwach tak nasyconych, jakie tylko barwniki roślinne dać mogą. Ale prawdziwe hobby to były perfumy. Od czasu do czasu otwierał flakoniki, tak jak się wacha tabakę, i znów szczerze zamykał. Nalkowska zbierała pudełka. Miała ogromną ilość. Nie ograniczała się wyłącznie do pudełek od zapalek, jak ów książę Trepof z powieści Francisa „Le crime de Sylvestre Bonnard”, który jedzie na Sycylię, żeby zdobyć pudełko z wizerunkiem Empodoklesa.

Nasz sąsiad wieloletni, dr Rygiel, znany bibliofil, posiadał piękną kolekcję druków dziewiętnastowiecznych. Kiedyś pokazywał nam swoje zbiory. Co za rozkoszna kolekcja! Kwintesencja epoki. Fintifluszki, zakrętaszy, bukiełki, kokardeczki, ptaszki, serduszka. Ten nadmiar i pretensjonalność, od której odeszliśmy z tęsknotą ku prostocie, a na którą dziś spoglądamy rzewnie, prawie z leką w oku.

Ci, którzy ulegli tej pasji, ci którzy kochają antyki, wiedzą, że nie jest to wyłącznie miłość do martwych przedmiotów. Za wszystkim kryje się człowiek. I nie tylko jego myśl, talent, czasem geniusz! Wrażliwe ucho słyszy głos, melodię, nawet dalekie westchnienie.

Niemalą rolę odgrywa przygoda. Tak często powtarza się: — „Kupiłem to w takich a takich okolicznościach” — „Towarzyszył mi wówczas...” „W czasie

mojej podróży zobaczyłem tę rzecz przypadkiem...”

Tu następuje dokładny opis miejsca, ludzi, wplątuję się anegdota, pejzaż, jednym słowem całe opowiadanie, którego centralnym punktem niekiedy jest sam fakt nabycia przedmiotu. Odświeżają się jakieś postacie o znamienitych rysach, wynikają przyjaźnie, oparte na wspólnych zamięowaniach, tak samo niechęci, urazy. Prawdziwe kolekcjonerstwo wymaga dużej siły charakteru, systematyczności, pewnego uporu, wyrzeczenia.

Przez szereg lat przed wojną jeździłam na Podhale w poszukiwaniu starej sztuki ludowej. Tylko dzięki przyjaznym stosunkom w chałupach góralskich, udało mi się zebrać to i owo. Końmi, pieszo, czasem do trzydziestu kilometrów dziennie i często bez rezultatu. Pamiętam, jak utrudzona dotarłam kiedyś do Szaflar nad Białym Dunajcem i z jakim tryumfem wracałam z drewnianym płaszkiem barwionym farbami roślinnymi. W Podwilku znalazłam prześliczne talerze z ornamentyką, przypominającą nieborowską porcelanę. W Zarym koło Rabki pan Franciszek Wawrzyniec podarował mi biblię 17-wieczną. We wsi Rabka stary garncarz pan Rączka znalazł u siebie na strychu obrazy, jeszcze po dziadkach, którzy nabyli je od malarzy wędrownych. Z przyjemnością odstąpił mi te stare płótna, których naiwne potraktowanie bawiło aż do śmieszności. Z Poronina miałam krucyfiks z osiemnastego wieku, który był tak wyschnięty ze starości, że nie ważył więcej niż piórko mewy.

Wojna zabrała wszystko. Również moje starożytne zbiory, przywiezione z Capri, a ofiarowane mi, przez jednego z potomków kompozytora Cherubiniego. Z białego popiołu w naszym mieszkaniu mój starszy syn Zbigniew wydobyl pokaleczony torsik amuletu egipskiego, rylec, jakim pisano na tabliczkach woskowych, i nienaruszoną lampkę oliwną. Przechowuję te skarby w serwantce już powojennej. Wzrusza mnie ich ciągłość. Przywykły do wielkich kataklizmów dziejowych, opary się również katastrofom i pożarom naszego powstania w Warszawie.

W mojej szafce która ma za ścianę taflę lustrzaną, przedmioty znajdujące się wewnątrz, istnieją podwójnie. Zależnie od pory dnia promienie światła zabawiają się z bracijszkami i siostrzyczkami bliźniami mieszkającymi tu zgodnie ze sobą. Honorowe miejsce mają dwa lichtarzyki, przywiezione z Genewy z tamtejszych „ciuchów”. Ten uroczy dar Jacka Stryjeńskiego, znakomitego plastyka, po jego śmierci jest mi drogą pamiątką. We wszystkich miejscowościach, również za granicą, zwiedzam wszelkie targowiska w rodzaju „marchés aux puces” paryskiego. Nie odmówiłam sobie tej przyjemności również w Rzymie za moim ostatnim pobytom. W malowniczej dzielnicy Trastevere za Porta Portese, wyłącznie w niedzielę, tłumy wędrują po tych rzymskich „ciuchach”, które ciągną się kilometrami. Można tam nabyć wszystko, co się znajduje na świecie w zakresie lichych tandety, pewnie i konia, któremu nie należy zajrzeć w pysk, za sto lirów pończochy o niesprawdzonych oczkach itp. Mnie oczywiście interesowała dopiero strefa antyczna, gdzie można spotkać zaaforowanych kolekcjonerów wszystkich narodowości i ras. Ale tu naprawdę trzeba się znać. Włochy już mają pewną tradycję w zakresie falsyfikatów. Ten naiwny brodacz, który z tryumfem wynosi pod pachą drewniany tryptyczek pokruszony od starości sądzi, że za kilka lirów nabył arcydzieło. Tymczasem jest to reprodukcja, z niesłychaną precyzją i zrecznym wklejona. Taką przemysł istnieją od dawna, gdzieś pod Florencją. Ale włoska stara porcelana jest śliczna i autentyczna, cyna szlachetnie ukształtowana w starych misach i dzbanach, prawdziwe persy i wschodnie makaty walają się i kurzą na ziemi. Ale rzeczy te mają swoją prawdziwą cenę i nie są tu przypadkiem zabiłkane. Sądzę, że ten marchand, który tu jest w cylindrze uwidoczniłony, w pozostałych sześciu dniach tygodnia ma niezgorszy sklepik w bardziej reprezentacyjnej dzielnicy. Lecz i tu trafiają się okazje. Ja bym i z takowej skorzystać nie mogła. Cóż można zaoszczędzić z dewiz zwłaszcza w przeddzień odjazdu! Miałam 500 lirów. Nachyliłam się nad straganem. Podniosłam dwie leżące obok siebie główki aniołków barokowych. Zapytałam o cenę. Czteryście lirów — powiedział handlarz — dwieście — spróbowałam nieśmiało. Podszedł do mnie, główki odebrał z rąk i poturlał nimi aż na

# Kłopoty z popularyzacją

KONRAD BIELSKI

**N**UMER wznowionego „Reflektora” opuścił prasę. Tym razem arukarnie „Szuika”, której współwłaścicielem był Gowiński i która drukowała jego wydawnictwa. W okresie bardzo przychylnym — w listopadzie 1924.

Przed świętami, ale nie za blisko. Teraz rozpoczęły się najistotniejsze troski i kłopoty. Jak ten numer zostanie przyjęty przez krytykę i czytelników i — jak się rozjeździe, czy pozyska sobie dostateczną ilość odbiorców.

Narzekamy dziś na „Ruch”, że źle rozprawdza, że jako monopolistyczne przedsiębiorstwo nie dba dostatecznie o interesy swych klientów. Narzekamy, ale cóż za wygoda — wraz z numerem pisma zrzuca się z głowy wszelkie kłopoty, oni już wszystko załatwią. Ale wtedy nie było centralnej instytucji kolportażowej, nie było żadnych ułatwień, natomiast piętrzyły się wielkie trudności. Rozprowadzić i wprowadzić na rynek pismo literackie, wydawane na prowincji, ubogie, bez reklamy — było to zadanie bardzo trudne. Podjęli się tego dwaj nasi koledzy. To, co dziś załatwia całe biuro z odpowiednią liczbą pracowników, to wzięli na swe barki dwaj młodzi entuzjaści: Bobrowski i Gralewski. Gralewski z humorem opowiada w jednym ze swych opowiadań, jak na stacji w Warszawie policja mu dopomogła wynieść ciężkie paki z „Reflektorem” przeznaczonym na Warszawę, mniemając, że schwytała gościa z dużym zapasem biuły komunistycznej. Gdy zasapani policjanci już na dworcu przekonali się o swej pomyłce, Gralewski wręczył im dwa numery pisma z podziękowaniem za bezinteresowną pomoc w transporcie. Nie wszystko jednak kończyło się tak zabawnie i szczęśliwie, raczej na odwrót, szło opornie i bez wielkich sukcesów.

Zachował mi się list od Bobrowskiego, datowany 5.XII.1924 r.: „Kondziu, Komis na Warszawę oddałem „Ogniwu”, ponieważ wskazanego przez Głowińskiego kolportera nie mogłem znaleźć. Wzięli 200 egzemplarzy na 40%.” Jędrzejewicz nie zgłosił się.

Przesyłki dalszych numerów oczekują „Reflektor” idzie źle, wskazują to na konieczność reklamy. Załatwiłem „Tygodnik”, „Świat” i inne, jedne dadzą mniej, drugie więcej, ale coś dadzą. Stern radził mi porozumieć się z Gackim co do sposobu taniej reklamy, rozmówię się z nim i dołączę do następnego listu jego rady”. Cały list jak komunikat z ołacu boju. Sprawozdania z osiągnięć i niepowodzeń oraz nasuwające się stąd wnioski. Dalej następują plany na najbliższą przyszłość: „Reflektor” na ogół robi dobre wrażenie. Od Sterna do Makużyńskiego — zarzuty co do strony zewnętrznej (okładka dobra — radzą zachować), fatalna korekta. „Almanach” wydaje na Boże Narodzenie numer francuski, należy zatem nasz francuski odłożyć do trzeciego, albo czwartego. Miałoby to te zalety jeszcze, że właściwie głupio byłoby zaczynać od retrospektywu, nie pokazawszy siebie. W drugi numer wpakujemy masę poezji, pokażemy nowych ludzi. Napisz do Młodożeńca, ja napisałem do Szczepańskiego i Przybosia, załatwiam też Warszawę. Napisz do Lwowa, Poznań, Wilna — może tam się da kogoś wyłowić. Słowem zrobimy drugi numer — numerem młodzieży literackiej”.

Tak to z jednej strony staraliśmy się rozprawdzać i rozreklamować pierwszy numer, a jednocześnie zabrał się do realizacji drugi.

Korespondencja między mną i Bobrowskim, z konieczności bardzo ożywiona, nie zawsze toczyła się w tak spokojnym tonie. Bywało, że zdenerwowany z powodu nieprzysłania na czas potrzebnych materiałów, wściekał się listownie. Najgorzej bywało z forsa, niewieleśmy tego posiadali, a czasem trzeba było jakimś firmowemu zagranicznikowi zapłacić honorarium, lub zachodziła inna konieczność. Razu pewnego na próżno czekając przez czas dłuższy na obiecaną i bardzo oczekiwaną przesyłkę, wysłał do mnie depesze tej treści: „przysyłaj natychmiast pieniądze draniu” — bez podpisu, żeby taniej. W tym

(Dokończenie na str. 10)

koniec swego sklepiku. Pokornie podniosłam je drugi raz „a trzysta weźmie pan?” — dodałam zachęcająco. Mrugnął pojednawczo. Za dwieście kupiłam brązową kolatkę z gębą pysznego maskarona.

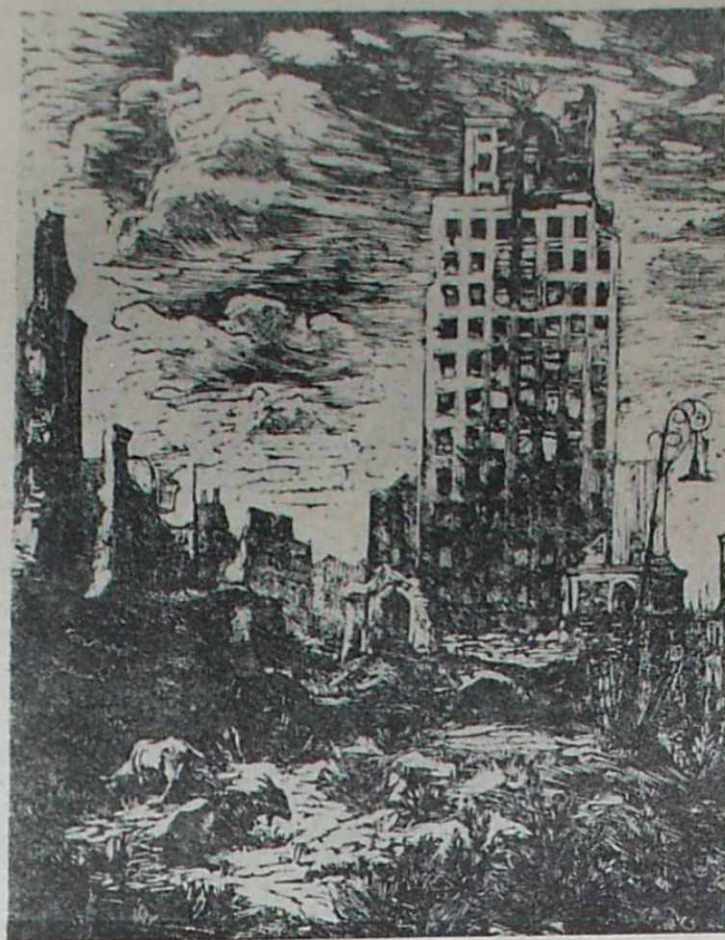
Tak się powoli zapełnia nowymi zbiorami moja gablotka, którą nazywam metaforycznie szafą grającą. Nie ma w niej arcydzieł. Więcej pamiątek, sentymentów.

(Dokończenie na str. 11)



Tandeta przy „Porta Portese” w Rzymie





## CZARNO-BIAŁE SYMFONIE

IRENA KŁAK

**M**INAŁ rok od śmierci Marii Gabryel Rużyckiej, wybitnej przedstawicielki polskiej grafiki. Od 1945 r. do dni ostatnich mieszkała artystka w Gorlicach, małym miasteczku Rzeszowszczyzny odległym od dużych centrów sztuki. Skromna i konsekwentna wyrzekła się łatwych sukcesów, zrezygnowała z modnego nowatorstwa i pozostała wierna swej sztuce, ukształtowanej w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Długoletni pobyt w Podgórzu Gorlickim związał uczuciowo artystkę z tą ziemią. Tu znalazła tematy do wielu prac. Przemówiła zwłaszcza głęboko do wrażliwości plastycznej artystki monumentalizmem i specyficzną romantyką architektura zabytkowa wtopiona w górzysty krajobraz. Staremu Bieczowi poświęciła cykl drzeworytów.

Rzeszowszczyzna tak bliska Marii Gabryel Rużyckiej dotkliwie odczuła stratę artystki. W Rzeszowie trwają obecnie przygotowania do uroczystego uczczenia jej pamięci pośmiertną wystawą jej sztuki.

Grafika nie stanowiła jedynej żywności twórczych zainteresowań artystki. Maria Rużycka nigdy nie zarzuciła piędzla. Kult koloru związał ją z grupą twórczą „Przymat”, a półroczny pobyt w 1937 r. w Paryżu — gdzie przebywała jako stypendystka w pracowni Józefa Pankiewicza (kierującego paryską filią krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych) — rozwinął jej zainteresowania kolorystyczne i zdecydował o kierunku przyszłych poszukiwań formalno-warsztatowych. Wkrótce po powrocie z Paryża, już w 1938 r., wystawiła swe prace malarstwo w Warszawie, wspólnie z grupą „Przymat”. Dała w nich wyraz swemu zafascynowaniu związkami i opozycjami barw i światła.

Maria Rużycka posiadała dużą kulturę plastyczną. Łączyła wrażliwość malarstwa z sumiennym rzemiosłem artystycznym i rozległą wiedzą teoretyczną. Dodatni wpływ na twórczość artystki wywarła znajomość sztuki europejskiej, wyniesiona z licznych podróży artystycznych. Zwiedziła bowiem Włochy, Francję, Szwajcarię, Jugosławię, Austrię, Bułgarię i Kanadę. Z podróży tych niejednokrotnie przywoziła do kraju liczne szkice i rysunki. Pokłosem podróży do Bułgarii jest interesujący cykl drzeworytów „Impresje bułgarskie”, który powstał w wyniku nowych wizualnych i emocjonalnych doznań artystycznych.

(Dokończenie na str. 11)

Maria Rużycka urodziła się w 1905 r. we Lwowie. W tym mieście spędziła dzieciństwo i wczesną młodość. Otrzymała staranne wykształcenie. Naukę rysunku rozpoczęła wczesnie, w okresie gimnazjalnym u Z. Zygulskiej-Pogonowskiej, a kontynuowała w Szkole Technicznej pod kierunkiem K. Olpińskiego i P. Gajewskiego. W dwudziestym roku życia, po uzyskaniu świadectwa dojrzałości rozpoczęła regularne studia artystyczne w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Przez cztery lata kolejno studiowała malarstwo u Mehoffera i Kowarskiego, a grafikę u prof. Wojnarskiego. W 1929 r. nieoczekiwanie znalazła się w gronie wychowanków warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Przyjechała tu z grupą innych studentów krakowskich chcących kontynuować naukę w pracowni cenionego pedagoga — F. S. Kowarskiego, który powołany został w tym czasie na stanowisko profesora tej uczelni.

Ow przyjazd do Warszawy miał znaczne następstwa dla przyszłej twórczości artystki. Zetknęła się tu bowiem bezpośrednio, w pracowni grafiki, ze Skoczylasem, twórcą popularnego „Rytu” — stowarzyszenia grupującego utalentowanych artystów grafików ze środowiska warszawskiego. Od tego czasu datuje się trwały związek Marii Rużyckiej z warszawskim ośrodkiem sztuki. Wystawiała tu swoje prace już od roku 1932. W 1933 roku na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytu w Warszawie uzyskała dyplom honorowy, a warszawskie Muzeum Narodowe zakupiło „Wiosnę narcyzów” — z teki „Sport”. W tym roku wstąpiła artystka oficjalnie do „Rytu”, cieszącego się już światowym rozgłosem. Zasiłując „Rytu” była organizacją międzynarodowych wystaw drzeworytu w Warszawie — w latach 1936 i 1937. Maria Rużycka brała udział w tych wystawach, a prace jej spotykały się z ciepłą oceną krytyków. Ponadto brała udział w wielu wystawach polskich organizowanych poza krajem, m. in. w Hamburgu i Wiedniu w 1935 r., w Rapperswilu w 1937 r., w Kanadzie w 1938 r. i w okresie powojennym w wystawie osłagniętej plastyki polskiej w Pekinie i Szanghaju w roku 1955.

Po moim królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrowców.

Seweryn Goszczyński,  
„Król zamczyska”.

**O**DRZYKON położony jest w okolicy Krosna nad Wisłokiem. Ta rozległa wieś zawdzięcza prawdopodobnie swoją nazwę ubocznemu dawniej zajęciu miejscowych chłopów, wyprawiających skóry konskie. Przy krańcu jednego z przysiółków — Podzamcza — na szczycie wzgórza — Kamieńca — zachowały się okazałe jeszcze ruiny kasztelu, broniącego w minionych wiekach południowo-wschodnich kresów Polski.

Być może już w XII wieku zamieszkiwali tę wyniosłość Moskorzewscy herbu Pilawa, ale dopiero za czasów Kazimierza Wielkiego wybudowano tutaj zamek murowany, nazywany początkowo Kamieńcem, a później odrzykońskim. Formalnie został on nadany przez Władysława Jagiellę, przy końcu XIV wieku, podkanclerzemu litewskiemu, Klemensowi z Moskorzewa Pilawicze, który od nazwy miejscowości zaczął zwać się Kamienieckim. Na przełomie wieków XIV i XV wzniesiono drugą część zamczyska, nazwaną zamkiem „niższym” (w odróżnieniu od partii starszej — „wyższej”), lub korczyńskim. Tak więc nierozdzielnie związane ze sobą zamki, zbudowane faktycznie na terenie Odrzykonia i Korczyzny, nosiły różne nazwy, pochodzące od nazw przyległych do siebie wsi (granica gruntowa obu gmin katastralnych do dnia dzisiejszego przebiega pośród ruin). Schedą złożoną z dwóch zamków łatwiej było dysponować, toteż z początkiem XVI wieku, przy dziale spadku, „wyższy” pozostał nadal przy Kamienieckich, ale „niższy” dostał się już, na skutek sprzedaży, Sewerynowi Bonarowi. W następnych latach mniejszą wagę przykładano do podtrzymania dobrej sławy zamków; tradycje surowego rycerstwa przelały się w swawolne wyczyny hulawczej szlachty. A kiedy sąsiadami stali się Jan Skotnicki i Mikołaj Firlej wówczas nie wojowano z wrogami państwa, ale pomiędzy sobą, przez ścianę, o dziurę w murze.

Z początkiem XIX wieku groźny bastion stanowią już tylko ruiny. Historię zamku sztucznie przedłużają dzieła literackie. Tak się złożyło, że po temat do swoich utworów sięgnęli — do zamku odrzykońskiego — dwaj pisarze bardzo poważnieni ze sobą za życia. Fredro „Zemstą”, a Goszczyński „Królem zamczyska” wzbogacili dzieje rozwalin. Oba te utwory, oparte w przeważnej mierze na zdarzeniach prawdziwych, opisują tylko wycinki z historii kasztelu. Fredro wiązał z nim swoją komedię od strony obyczajowej, Goszczyńskiemu posłużył on do wyrażenia tendencji politycznych.

Czas napisania „Zemsty” to rok 1833. Akcja utworu toczy się w początkach XIX w., ale odpowiada dzięjom prawdziwym, które rozgrywały się w zamku w XVII w., kiedy miał on dwóch właścicieli: Jana Skotnickiego (pierwotny sceniczny postać Cze-

## O ustroniu waśni i kądzieli

STANISŁAW R. LIPiŃSKI

śnika Raptusiewicza), pana na zamku Wyższym, i Mikołaja Firleja (prototyp Rejenta Milczka), właściciela zamku Niższego. Treścią „Zemsty” jest zatem pewien rozdział z rodzinnej historii przodków żony Fredry — Zofii z Jabłonowskich. Syn Mikołaja Firleja, Jan, podobnie jak Wacław z „Zemsty”, poślubił córkę Jana Skotnickiego, Zofię, będącą żywym odpowiednikiem postaci Klary. Rzeźczywiste spory pomiędzy dwoma rodami zakończyły się tak samo jak w „Zemście” — obopólną zgodą (Cześnik: „Mocium panie, z nami zgoda”).

Ale zanim do niej doszło, to z pewnością wzgórze treszczało w posadach od waśni i wrzenia pomiędzy mieszkańcami zamków. Głowy skłóconych rodów wiklały się w długich, męczących sporach i czynieniu sobie nawzajem szkód i złośliwości: zasypanyo studnie, udaremniano remonty, więziono służbę, niszczone sady i winnice.

Patrząc dzisiaj na ruiny, trudno sobie wyobrazić, które to okno otwierał Skotnicki-Cześnik, aby wypowiedzieć słowa:

Ja — z nim w zgodzie? —

Mocium panie,  
Wprzód słońce w miejscu stanie,  
Wprzód w morzu wyschnie woda,  
Nim tu u nas będzie zgoda.

A Firlej-Rejent nie pozostawał wrogowi dłużny:

Czapkę przedam, pas zastawię,  
A Cześnika stąd wykurzę;  
Będzie potem o tej sprawie  
Na wolowej pisał skóre.

Te tryskające humorem kwestie komedii bawią na scenie teatru, lecz realizacja podobnych obietnic stawała się raczej nie do zniesienia w rzeczywistości: przykro było w owym czasie mieszkać tutaj, niemal pod jednym dachem, na niewielkim wzgórzu!

Całe szczęście, że dzieci ojców-pleniaczy gruchały sobie tymczasem:

Klara: Czegoż trzeba? Mów.  
Wacław: Zameścia.  
Klara: O, szalony! gdzie sposoby?

Wacław: W twojej woli.

(Dokończenie na str. 12)





## Spotkanie

Skąd tyś się wzięła na mą radość?  
„I gdzie ty kwitła i gdzie żyła?”  
Hojnie, twym chciałem czyniąc zadanie,  
Natura cię wyposażyła.

Dwa oceany głębi oczu.  
Policzek dwóch dziewczęcy płomień  
I wzruszający mnie, uroczy  
Na czole włosów twoich promień.

Swoim marzeniem ciebie zwałbym,  
Ale mój Boże, za mną przede,  
Spójrzaj no, jak w kolejce baby  
Stanęły me dziesięciolecia.

Co dają dziś? Manufakturę?  
Wspomnienia o młodzieńczych zrywach?  
Porządnie przetrzępaną skórę,  
Co „przytulnością” się nazywa?

Świat się naprzykrza cudów mnóstwem,  
A ja wciąż jeszcze marzę o tym,  
By z tobą płynąć na żaglówce  
Zapominając, że jest motor.

Obec mi zacofanie wszelkie,  
Nie propaguję średniowiecza, —  
Lecz pragnąłbym miłości wielkiej  
Ot tak — na jawie, w samej rzece.

Z nią spotykałem się zbyt wcześnie  
I późno zbyt... I skąd, na Boga,  
Miłość samotna jest boleśnie?  
Miłość — i obok mnie nikogo?

No dość już, starczy, bo ten temat  
W żaden nie złoży się systemat.  
Jak w głębi duszy mojej walczą  
Racjonalista z balwochwalcą!

Powinien bym to czuć inaczej,  
Na inne słowa się odważyć...  
Ot lepiej włoż na siebie płaszczek,  
W którym tak bardzo ci do twarzy.

I razem w kraj półdłujemy baśni,  
W kraj, gdzie poezja zamieszkała,  
Tam czułość odnajdziemy właśnie,  
Której tak ludziom zawsze mało.

1957.

Przełożył K. A. Jaworski

— Tak... No to pijmy to wino. Jest  
złociste jak co?... Jak pani ramiona.  
Rozpedza nawet najpiękniejszą  
chandré.

— Jak to się stało — dziewczyna  
błysnęła powiekami z emocji.

— W sobotę przyjechalimy razem,  
żeby opracować trasę i załatwić sprzęt.  
A Gosia dzisiaj, autobusem...

— No... — niecierpliwiła się dziewczyna.

— Wczoraj rzeka cudownie szumiała.  
Rzeka i szuwary i gałęzie olch,  
wszystko. Wieczorem poszliśmy z  
Lukaszem na kolację. Zaproponowałem  
po wódce. Wypiliśmy. Jakoś niedobrze  
nam się rozmawiało, więc wypiliśmy  
znowu i wtedy Łukasz był już wesoly.  
Potem jeszcze pół litra na stolik i  
jakieś wódki przy barze...

— I pod rybkę z wody — westchnął  
facet uśmiechając się głupkowato do  
swoich myśli.

(Dokończenie na str. 10)

nie zobaczyć, ludzi nad rzeką było sporo.

Człowiek w pumpach powiedział jakos na serio, choć zupełnie od rzeczy: — Patrzenie, całkiem świeży topielec.

A paniusia w pomarańczowej sukni dorzuciła: — A ubranie, to zostawił na brzegu, dobrze, że nikt nie ukradł. Spojrzałem na to ubranie, ale jeszcze nie, zupełnie nie...

Milicja rzeczna spisywała protokół. — Na podstawie dowodu osobistego znalezione w ubraniu pozostawionym przez denata na brzegu wynika, że Łukasz Broniek, kawaler, lat dwadzieścia pięć, w niedzielę, dwudziestego pierwszego około godziny szóstej rano...

## CZŁOWIEK Z WODY

JERZY KSIĘSKI

— Cooo?  
Krzyknąłem chyba za głośno, bo wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę.

— Łukasz? Łukasz... to niemożliwe, to...

Zrozumiałem już, co znaczą te brązowe spodnie na brzegu, ale jeszcze nie mogłem uwierzyć.

Ludzie rozstąpili się. Obserwowali mnie teraz tym samym zachłannym okiem, jakim przed chwilą patrzyli na topielca.

Milicjant przerwał na chwilę pisanie i przygryzając ołówka zapytał: — Wy go znacie?

— Znam, ale to chyba nie on.

— Odwrócić ciało.

Rybak tym samym hakiem pogmerał w wodzie i zobaczyłem twarz.

— Ten sam? No, mówcie coś — denerwował się milicjant.

— Ten sam... — potwierdziłem z trudem.

Zebrani zmienili natychmiast wyraz twarzy na uroczysty. Uważali widać za stosowne dać mi do zrozumienia, że czują boleść, która powinna mnie przenikać, że potrafią ją uszanować.

Tymczasem ja nie mogłem jeszcze zrozumieć, że powinienem okazać smutek, czy odpowiednio dobraną żalność. Nic, zupełnie nic.

Nie wiem co powinienem był zrobić wtedy. Może należało zawiadomić rodziców Łukasza, może dopilnować, aby ciało przewieziono do kostnicy, zanim sczernieje? Nie wiem.

Milicjant dalej powtarzał słowa pisanego do zeszytu. Tym razem były to dane personalne rybaka. Za wyłowienie topielca należy mu się jakaś tam nagroda. Oplaciło mu się — bardziej mu się opłaciło niż siedzenie z wędką.

Opowiadał o tym z radosną dumą, której nie potrafił ukryć. Zresztą chyba wcale się o to nie starał. To zrozumiałe, że rybak, który miał szczęście wyciągnąć na haku Łukasza, staje się dla tych wszystkich otępiałych słuchaczy bohaterem. Umiał to ocenić. Pokazywał szerokim ruchem miejsce na rzece, gdzie to się stało, i palił z rozkoszą dobrego papierosa, którym

poczęstował go któryś z usłużnych gapiów.

— Jak się taki młody mógł utopić? Gdzie on miał rozum? — zastanawiała się głośno ta sama paniusia w pomarańczowym.

— I pomyśleć, kochani, co za zmartwienie musi być dla rodziny... Całe szczęście, że nikt znajomy.

— Cholera, cholera by to wszystko wzięła.

Ruszyłem z brzegu w stronę miasta pierwszy. I wtedy złapała mnie nagła złość. Ten głupi Łukasz, ten idiota, przecież zepsuł całą wędrówkę. Jak będzie można iść bez niego? A poza tym pogrzeb. A niech to szlag trafi! Drugi dzień urlopu...

Nieznosny upał. Ściany domów pobielaly, aż kiuto w oczy. Ulicami snuły się grupy wycieczek, a na rynku parkowało coraz więcej samochodów. Tak, to była bez wątpienia niedziela w Łęgach.

W głowie zupełna pustka, co było robić z godzinami tej upalnej, przekiętej niedzieli. Usiadłem bezmyślnie w kawiarni, w której o piątej po południu mieliśmy się spotkać z Małgošką.

Łukasz... Łukasz się ładnie na dzisiaj urządził, nie ma co. Niech by tak spróbował on opowiadać o mnie moim starym „Gosi”. A ja bym sobie przez ten czas poleżał pod przykryciem popielatych trzcini. Bo jak odchodziłem znad rzeki, to akurat drugi rybak zaskonił go trzciniami od słońca.

Na razie pilem w tej kawiarni wino, gapiąc się przez okno w kwadrat rynku. I na tę obrzydliwą studnię, w której z pewnością również była woda. — Zdatna do picia — myślałem.

Kiedy już nie było wolnych stolików, podeszła do mnie para — ładna, opalona na złoty kolor dziewczyna i facet, którego znałem skądś tam z widzenia. Ucieszyłem się, że będę mógł nareszcie z kimś pogadać.

— Ale upał, co? — zacząłem.

— Parno — odpowiedziała dziewczyna. — Ale chyba zaraz lunie deszcz...

— Albo i nie lunie — mruknął facet i zamówił butelkę wina.

— Nad rzeką wyłowiono topielca... Nie, jeszcze nie słyszeł. Piliśmy już razem i mogłem opowiadać.

— Łukasz to był mój najbliższy kolega. Przyjaźniliśmy się nawet po jego zaręczynach z Gosią. On oczywiście nie wiedział, jak bardzo podobała mi się Gosia. O piątej przyjeżdża Gosia, autobusem.

— Nic nie rozumiem — powiedziała dziewczyna — mówił pan o topielcu, a teraz o zaręczynach...

— No właśnie mówię, Łukasz to ten, który się utopił.

— Aha... — ziewnął facet, który był z dziewczyną.

## IGOR POSTUPALSKI

## Aj — Todor

Aj-Todor (tutaj wstrzymaj krok!)  
fal czarnomorskich słucha grzmot...  
stał ongiś Rzymianina wzrok  
dalekich żagli śledził lot.

Monety, jakaś drobna rzecz,  
ruiny, cegły, prochy z jam,  
okucia strzał, złamany miecz...  
Od lat to wszystko tutaj znam.

Ten ołtarz... z włócznią jeździec-Trak,  
niepowstrzymany konia bieg!...  
Czytałem w rzeźbach co i jak,  
widziałem w myślach dawny wiek.

Potęga groźny jeszcze Rzym  
legiony ciężko wiodł na Wschód,  
lecz żołnierz rzymski w kraju tym  
znał tylko trwogę, nędzę, głód.

Za tych lesistych sinych gór  
tubylec patrzył — groźba, strach...  
Skończony już stuleci spór,  
zburzony mocy rzymskiej gmach...  
Świeć, Aj-Todorze, świeć zza chmur,  
radziecki okręt płynie w mgłach!

Jeden haust  
krymskiej wiosny

(Dokończenie ze str. 5)

skich wrót\* i Sewastopola, o których mam jedynie dawne, wyblakłe wspomnienie; nie widziałam wstawionego przez Mickiewicza i Puszkina Bachezysaraju, nie widziałam Arteku z jego znakomitymi obokami sanatoryjnymi dla młodzieży; malowniczy Gurfuf ukazał mi swą sylwetkę tylko z daleka! nie byłem w... Ech, co tam! Takaj rejestr „zaprzeczony” zamkrawa na anegdotek, zanotujmy lepiej, że wczoraj odwiedziłam jeszcze Ałupkę, najważniejsze po Jałcie uzdrowisko południowego wybrzeża Krymu. Ałupka ma trzynaście sanatoriów, gdzie toczy się wytrwała i skuteczna walka z gruźlicą.

Były pałac księcia Woroncowa zwiędziłam w towarzystwie sympatycznej dziewczynki, księgowej z Mischoru, która przyjechała w gościnę do przyjaciółki, a że przyjaciółka była jeszcze w biurze, młode dziewczę postanowiło uprzyjemnić podwójnie swój dzień urlopowy zwiedzając tutejsze muzeum. Ludzie radzieccy okazują przy każdej sposobności szersze zainteresowanie cennymi zabytkami architektury, w ogóle dziełami sztuki.

Istotnie pałac w Ałupce jest godny podziwu. Wybudowany — rękami chłopów pańszczyźnianych dygnitarza — z twardego zielonego granitu, zdumiewa finezją ornamentacji. Projektował go architekt angielski, w zdobieniu wzięło udział kilkunastu majstrów włoskich. Obecnie w pałacu-muzeum pełno przednich obrazów, wyborynych dywanów, porcelany, brązu — wszelkich wytwornych antyków, trzeba jednak wiedzieć, że jakieś osiemdziesiąt lat temu wdowa po namiestniku Woroncowie wywoziła stąd wszystko co było najcenniejszego — za granicę, jak to zrobił za naszej pamięci Alfred Potocki z Łańcuta.

Główny portal, w stylu „indo-muzułmańskim” XVI—XVIII w., otwiera się na słynny „lwi taras”, na monumentalne, prowadzące do parku schody, ozdobione po bokach sześcioma marmurowymi lwami, z których ten śpiący jest bez wątpienia arcydziełem.

Dużo tu na Krymie wspaniałych parków, ale park przypałacowy w Ałupce chyba najpiękniejszy po Nikiekim Ogródzie Botanicznym\*. Tutaj także na każdym kroku są okazy egzotyczne, lecz całość ma własne, indywidualne oblicze. Nie brak w tym parku elementów romantycznych: grot, labiryntów, sztucznych spiętrzeń odłamków skalnych, jednak zasadniczą jego cechą jest harmonijna łączność z otaczającym naturalnym krajobrazem, nad którym panuje szczyt Aj-Petri.

Dzień dzisiejszy zeszedł mi na zachodach przedodjazdowych i na pożegnaniu z Jałtą. Opuzczam Dom Literatów Radzieckich z prawdziwym uczuciem

wdzięczności dla kierownictwa Litföndu, które umożliwiło mi pobyt w tej świetnej „bazie wypadkowej”. Kulturalne, życzliwe otoczenie, bogata biblioteka, kino na miejscu, wreszcie — wygodne „zakwaterowanie”, zdrowe i smaczne posiłki, wszystko to składa się niewątpliwie na dobre samopoczucie i przedsiębiorczość wycieczkową. Toteż nie konwencjonalną złożyłam na odjeździe wizytę dyrektorowi Domu Literatów J. F. Chochłowowi, a zarządzającej, Natalii Nikolajewnie Orłowej, wręcz powiedziałam, że jest ona najlepszym w świecie duszkiem „lokalnym”.

Zegnaj, Krymie. Ułożyłam dla Ciebie przysłowie: „Vedere Crimea e poi... la vedere da capo”, zobaczyć jeszcze i jeszcze raz.

Maria Bechzye-Rudnicka

W. BONNANI  
SPIACY LEW



# Kłopoty z popularyzacją

(Dokończenie ze str. 7)

samym domu co ja, vis à vis mieszkał mój stryj Czesław Bielski, całowicie poważny i solidny, pracujący w dyrekcji jakiegoś banku. Listonosz widząc nazwisko bez imienia oczywiście zaniósł depeszę do mego stryja, a tam ją otworzyła i przeczytała jego żona. Było wielkie zamieszanie, nim się to wszystko wyjaśniło.

Na święta Bobrowski przyjechał do Lublina na dłużej. Korzystając więc z okazji, że znowu znaleźliśmy się razem, postanowiliśmy odbyć waleń naradę nad dalszymi losami pisma, a w szczególności nad obliczem numeru drugiego. Mieliliśmy już za sobą ocenę „Reflektora” przez szereg ludzi życzliwych i kompetentnych. Nie myślę tu oczywiście o oficjalnej krytyce, która była skąpa i metna, lecz o zdaniu warszawskich kolegów — literatów. Poglębiliśmy nasze kontakty z „Almanachem Nowej Sztuki”. Stern, Gacki, Ważyk, Brucz — nie uważali się za naszych konkurentów, lecz sojuszników w walce o nową sztukę. Dlatego też nie tylko, że przyśladali bezinteresownie swoje utwory, lecz nie skapili dobrych rad, mając niewątpliwie znacznie większe doświadczenie.

Na naradzie doszliśmy zgodnie do pewnych zasadniczych wniosków. A więc przede wszystkim, że ci firmowi nasi współpracownicy drogo nas kosztują, a specjalnie wielkiego splendoru nie przynoszą. Utwory te nie najwyższego gatunku, często dane na odczepnego — nie są wielką atrakcją, a zajmują dużo miejsca. Jeśli nakładem wielkiej pracy i ciężkich wysiłków wydajemy pismo, to nie na to, by się tam produkowali ludzie, którzy z łatwością mogą umieścić swe utwory gdzie indziej i z większym nawet ich pożytkiem. Natomiast lamy „Reflektora” powinny służyć nam i naszym przyjaciółom, bliskim wiekiem, a przede wszystkim stosunkiem do sztuki. Pozbyliśmy się nareszcie obawy, że pisma nie będą czytały, skoro nie znajdują tam nazwisk popularnych pisarzy. Wręcz przeciwnie, doszliśmy do wniosku, iż nowe nazwiska, nowi ludzie i nowe utwory — wzbudzą zainteresowanie i spowodują powrodozenie.

Następnie postanowiliśmy powiązać się jak najściślej z grupą pisarzy zgrupowanych przy „Almanachu Nowej Sztuki” (czego widomym znakiem było umieszczenie programowego artykułu redaktora „Almanachu”, Stefana Kordiana Gackiego, w naszym najbliższym numerze), poza tym nawiązać kontakt z piśmie awangardowym „Blok” oraz porozumieć się na temat ściślej współpracy ze stale mieszkającym w Paryżu Brzuskowskim, a przez niego jak to będzie możliwe, z najmłodszymi francuskimi poetami.

Takie były wytyczne, które najdokładniej zostały zrealizowane. Dodać

nałży, że trud, by naszym poczynaniom dać właściwy podkład teoretyczny, wzięli na siebie Bobrowski. My, pozostali, przyrzekliśmy z kolei dostarczyć najlepszych swych utworów.

Wszystkie te narady odbyły się oczywiście nie w lokalu redakcyjnym „Reflektora” — bo taki nie istniał. Korzystaliśmy z gościny „Ekspressu Lubelskiego”. Pomieszczenia redakcyjne były szczupłe, ale liczba współpracowników niewielka. Właściciel pisma Głowiński był nam przyjazny i życzliwy, zresztą do jego gabinetu wchodziliśmy zawsze. Naczelny redaktor natomiast, Gralewski, był członkiem naszej grupy i współredaktorem „Reflektora”. W jego pokoju pracy, boć trudno nazwać ten szczupły i skromny lokal gabinetem, w godzinach wieczornych urzędował jeszcze tylko korektor, a był nim z reguły człowiek z nami zaprzyjaźniony i bliski naszym poczynaniom. Tak więc w tychże wieczornych godzinach zbierali się wszyscy „reflektorzyści” in corpore, ba, gdyby tylko oni! Przychodzili tam również ludzie z nami zaprzyjaźnieni, a nawet liczni kibice. A że to całe towarzystwo pełne było zawsze różnorodnych pomysłów, wspólnych koncepcji i dyskusyjnych problemów — gwar i zgiełk panował tam nieopisany. Dziś podziwiam, jak Gralewski w tym diabelskim mlynie mógł pracować, przyjmować meldunki reporterów, wydawać zarządzenia i w ogóle wykonywać wszelkie czynności związane z redagowaniem dużego dziennika — jednak mógł i swoje robił. Wtedy nad tym nie zastanawialiśmy się wcale. Zazwyczaj dalszy ciąg sporów i dyskusji przenosił się do jakiejś knajpy. Lepszej lub gorszej w zależności od potencjału finansowego. Zdarzało się nieraz, że te sjeisty przeciągały się do późnych godzin nocnych, a rano każdy z nas musiał być już przy pracy. Byliśmy jednak młodzi, zdrowi i znosiliśmy te trudy wysilenia.

Postanowiliśmy również urządzić kilka wieczorów autorskich, by spopularyzować nasze pismo i bezpośrednio spotkać się z czytelnikami. W wieczorze urządzonym w Lublinie wzięli udział: Bocheński, Czechowicz, Gralewski, Jaworski i ja. Bobrowski przygotował solenne słowo wstępne. Wynajęliśmy najlepszą salę w Lublinie. — Towarzystwa Muzycznego. Aby nadać wieczorowi charakter specjalnie uroczysty, postanowiliśmy wystąpić we frakach. Tak jak solistów na wieczornych koncertach. Impreza miała dobrą reklamę. Dwa dzienniki były nam pomocne: „Ziemia Lubelska” no i oczywiście „Ekspress Lubelski”. To też sala wypełniła się w trzech czwartych, co można było uważać za sukces, bo nawet na atrakcyjnych koncertach rzadko bywał komplet. Publiczność była rozmaita, można powiedzieć po literacku „eklektyczna”. Najpierw nasi znajomi, potem znajo-

mi znajomych, trochę snobów i sporo jakichś niewyraźnych typów — byli to niewątpliwie grafomanami, którzy przyszli licgno. Uderzał zupełnie prawie brak młodzieży.

Reakcja sali — powściągliwa. Oklaskiwano nas kurtuazyjnie, bez entuzjazmu. Najwięcej chyba trafił do prekonarła Jaworski, którego wiersze były najbardziej komunikatywne. Przy wejściu na salę urządziliśmy stoiska z odpowiednią porcją numerów „Reflektora” oraz świeżo wydanymi tomikami poezji Bocheńskiego i Jaworskiego.

Ja napisałem żartobliwą bajkę, której morał był taki, że natychmiast należy kupić „Reflektora” i te książki. Wiersz wypowiedziany ze swadą ubawił wszystkich, no i w rezultacie zakupiono sporo numerów. Te pieniądze i uzyskane ze sprzedaży biletów, po pokryciu poniesionych kosztów, przeznaczaliśmy na kolację, którą urządziliśmy w jednym z gabinetów restauracji „Europa”. Oprócz autorów wzięło w niej udział kilku jeszcze zaproszonych przyjaciół. Ta sjeista stanowiąca dla nas punkt kulminacyjny wieczoru. Było naprawdę bardzo wesoło i przyjemnie. Wszyscyśmy się prześcigali w dowcipach i trafnych powiedzonkach. Alkohol, konsumowanie obficie, nie zaciemniał, lecz rozjaśniał umysły. Nie obyło się bez wewnętrznego kameralnego wieczoru autorskiego, improwizowanego na własny użytek.

Wyjechaliśmy również w podobnym składzie do Chełma, bez Bobrowskiego, ale z Bocheńskim. Organizatorem i gospodarzem, bardzo gościnnym, był Jaworski. Pamiętam obiad u niego przed występem, połączony z nienajgorszą libacją. Mieszkał wraz z matką w jakimś budynku poklasztornym o grubych murach i sklepionych sufitych. To dodawało jeszcze specyficznego smaku naszej biesiadzie. Na spotkanie wyruszyliśmy w bardzo różnorodnych humorach. Toteż miały miejsce liczne niespodzianki. Publiczność składała się w połowie z uczniów i uczennic Jaworskiego, a w połowie z przygodnych osób bez wyraźnego oblicza. Rozejrzawszy się po sali, odrzuciliśmy program awangardowy i przeszliśmy na rzeczy bardziej przystępne. Ja sięgnąłem do swych najmłodszych juveniliów i recytowałem poemat pt. „Rewolucja”, pokrywając braki pamięciowe improwizacją ad hoc, przy czym wstawiałem strofy śmiałe i dość ryzykowne. Jaworski bał się trochę, by z tego nie powstała jakaś nieprzyjemność. Ale obecny na sali policjant i przedstawiciel starostwa spali cały czas, a publiczność przyjęła to życzliwie. Czechowicz też mówił wiersze młodzieńcze, jak zwykle źle. Cienkim głosem i niewyraźnie. Poza tym było sporo omyłek i przejęzyczeń, ale na ogół wieczór się udał. Podobałiśmy się.

Konrad Bielski

## W KRAJNIE MICHAŁA KAJKI

(Dokończenie ze str. 4)

poprzez rozwinięta sieć bibliotek publicznych zapewnić powszechny dostęp do polskiej książki i uczynić z niej jeden z istotniejszych czynników rozwoju kultury i oświaty.

Jakkolwiek dziś podstawowe znaczenie dla studiów historycznych Warmii i Mazur posiadają zbiory biblioteki Stacji Naukowej PTH w Olsztynie, ambicją bibliotek w rejonie EGO jest gromadzenie i popularyzowanie książek regionalnych w najszerszym zakresie. Realizacji tych zamierzeń sprzyja działalność propagandowo-wydawnicza Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich oraz ogólny kierunek polityki kulturalnej władz wojewódzkich w Białymstoku, który ostatnio znalazł swój wyraz m. in. w nawiązaniu bliższej współpracy z wydawnictwami w Lublinie i w Olsztynie oraz w koncepcji reaktywowania Towarzystwa Miłośników Ziemi Białostockiej.

Ruch wydawniczy o charakterze regionalnym wiązał się w ostatnich latach głównie z działalnością „Pojezierza”, które w ciągu pięciu lat swej pracy edytorskiej wydało 57 pozycji poświęconych problematyce Polski północnej oraz 10 wydawnictw turystycznych. Ponadto, nie licząc wydawnictw periodycznych Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich, po kilka pozycji o tematyce regionalnej

# PEDAGOG KRUCZKOWSKI

(Dokończenie ze str. 3)

ganizował wyprawy w nieznaną, dzielił z żywym zainteresowaniem, dwukrotnie osobiście interweniował, strzegając się, aby zachować w tajemnicy tę bezinteresowną troskę. Był zachwycony, kiedy młody człowiek — ku zdumieniu wychowawców — zaczął nagle interesować się wielkimi sprawami, zdał wszystkie egzaminy, rozsmakował się w astronomii, studiował z zapalem.

— Dla mnie to nie jest zaskakującym zjawisko — tłumaczył nam po latach, kiedy w spokoju analizowaliśmy barzliwe życie chłopca. — Wierzę w naszą młodzież, nie podzielałem ogólnego pesymizmu. Starsi wcale nie zadają sobie trudu, aby ją zrozumieć, trzeźwo do niej w sposób możliwie najmniej natrętny. Żałuję, że nie mam czasu na częstsze rozmowy z pedagogami. Sądzę, że współczesna pedagogika może poszczycić się ciekawymi osiągnięciami.

Każdy list otrzymywany od niego wywoływał powszechną radość. Czytaliśmy te listy publicznie, analizowaliśmy, odpowiedź była zawsze staranna, zmuszała do głębokiej refleksji i analizy życia w kolektywie.

Mówiliśmy Mu często: — Cenimy Waszą twórczość, wychowujemy w oparciu o nią nowe pokolenia, uważamy jednak, że jesteście równie świetnym pedagogiem i psychologiem.

Potrząsał głową: — Gdzie mi tam do pedagogiki. To bardzo trudny zawód.

Kiedy dowiedział się, że drukowane na lamach „Życia Literackiego”, listy z parafii mają ukazać się w oddzielnym wydaniu, oświadczył, że chętnie napisze do nich przedmowę. Napisał w terminie, później dopomyślał się z uśmiechem: „Kiedy nastąpił? Robi się? Przyslijcie, powiem prawdę co o niej myślę”.

Zawsze mówił prawdę. Zawsze po zostanie w naszej pamięci, w pamięci starych i młodych Człowiek, kłopotliwym trudno dorównać, który znalazł trochę małych, zagubionych na dalekim zapleczu ludzi. Kochał tych ludzi.

Waldemar Babinić

## CZŁOWIEK Z WODY

(Dokończenie ze str. 9)

— To wczoraj? — zapytała opalona. — Ach nie, to było już bardzo dawno, kiedy jeszcze nie umiałem Łukaszowi wybaczyć Gosi. Co mi z tego było?

— A ten Łukasz? — Mógłbym wam opowiedzieć, że potem pokłóciliśmy się. On nie chciał wracać ze mną do Domu Turysty. Powiedział, że zaczeka na przystani, a rano pojedzie do Gosi. Tak się uparł. Zdaje mi się, że musiałem mu nawymyślać.

Z tym facetem od dziewczyny piiliśmy trzecią butelkę. To już był rausz i dziewczyna zaczęła marudzić:

— Widzisz, Karol, znów się upiłem... Deszcz wcale nie pada, mogliśmy pójść nad rzekę.

— Nad rzekę? — odburknął Karol. — Nigdy! W rzecę ludzie się topią, słyszalas?

— Po co się denerwować — uspokajałem tych dwoje. — Mamy przecież wszystko gotowe. Mamo i plecaki ze sprzętem są w Domu Turysty. A jaki piękny kocher kupił... — i cholera wie, czemu nie mogłem dalej mówić.

— Co pan? — przeraziła się dziewczyna. — Co pan mówi.

— No nie, jutro... Wyruszymy tak, jak się umowiliśmy. Czy państwo też jesteście narzeczeni? Nie ma co, tu jest potwornie nudno. Trzeba ruszać na szlak.

— Racja — zgodził się Karol. — Tu jest potwornie nudno. Dzidka, pakujemy rano manatki.

— Spotkamy się o dziewiątej — powiedziałem, żeby nie było paury.

— Dobra — przytaknął facet. — O dziewiątej przy tym stoliku. Fajny jestes chłopak... Wiesz co, wypijemy brudną... Karol jestem.

— A ja Piotr. Sclany rynkowych kamieniczek zaczęły nabierać cienia. Widać to było wyraźnie przez okno kawiarni. W samym rogu jacyś chłopcy śpiewali „Karina, Karina...”. — A jeden w dżinsach grał na gitarze. Potem zasłonił tych chłopaków niebieski wóz.

— Proszę pana... — dziewczyna trąciła mnie w ramie — Przyjechał autobus.

— Kto? —

— Autobus przyjechał, autobus.

— Autobus? Aha, przyjechała Gosia... To ja przepraszam, muszę już iść.

...

Wszyscy już wysiedli. Gosia rozglądała się nieporadnie.

— Cześć, Pietrek — zawołała. — A gdzie Łukasz? W kawiarni?

— Cześć, Gosia — powiedziałem blado — i na samym środku rynku rozplakałem się w najgłupszy na świecie sposób.

Jerzy Księżki



# „Gaudeo” igitur

poprzez zwiększenie atrakcyjności zawodu nauczyciela. Bez uregulowania spraw bytowych i materialnych, bez podniesienia autorytetu nauczyciela w społeczeństwie, nie znajdziemy właściwych wychowawców dla wiejskiej młodzieży.

Nauczycielowi trzeba pomóc, placówki kulturalne muszą tu wnieść swój wkład pracy. Konieczny jest wzrost specjalistycznych placówek dla młodzieży, niezbędne szersze uwzględnienie jej potrzeb przez wszystkie ośrodki kultury na wsi. Biblioteki gromadzić już są w stadium realizacji postulatów w tym kierunku, kolej na świetlice, wiejskie domy kultury, a przede wszystkim na Związki Młodzieży Wiejskiej.

On właśnie powinien organizować doświadczenia, eliminując zahamowania, wyniki z samej specyfiki wsi. W jego gestii leży zmiana opinii publicznej o ludziach ze wsi, wytworzenie odpowiedniej, przychylniej atmosfery dla ekspansji wiedzy poza rogatkę miejsc. Najważniejsza jest jednak opieka nad wiejską młodzieżą, dopinguje do nauki, pomoc w krytycznych chwilach, szczególnie przy egzaminach wstępnych i w pierwszym okresie studiów. Może wtedy procentowy skład studentów zmieni się w kierunku większego w nim udziału młodzieży wiejskiej.

Po kilku dniach egzaminów pustsząją sale uniwersytetów i akademii, rozpoczynają się wakacje. Dla jednych to pierwsze „dorosłe”, szczęśliwe, dla innych pełne gorczy, bez perspektyw przyszłość. Wiejskie bary zaroją na buty, do czeluści „młotkami”, zgodnie się znudziły muzeumami, „drze kłie z tradycją pójda w ruch...”, „liszki, widomy znak niepowodzenia. Oby niepowtarzalnego.

Jacek Wojciechowski

dziełmi dodatkowo i tu tkwi błąd, którego efektem jest znana sytuacja wśród kandydatów na studia. Nauczyciel powinien przede wszystkim wychowywać młodzież i w imię tego trzeba go zwolnić z niektórych, dodatkowych funkcji.

Wiemy, że przeważająca większość nauczycieli to ludzie ofiarni, pełni zapału, idący z duchem czasu. Nie sposób jednak pominąć tej grupy pedagogów, którzy na to miano abstrakcyjnie nie zasłużyli. Spotyka się jeszcze w tym zawodzie ludzi przypadkowych, bez odpowiedniego wykształcenia i chęci do pracy. Wyrządzają oni niepowetowane szkody.

W wychowaniu młodego człowieka na wsi poważną rolę powinny odgrywać placówki kulturalne. Nie są one zbyt liczne, uboższe w formy mają tym większe zadanie do spełnienia, a to, często niestety, przerasta ich siły. Nastawione na pracę z dorosłymi, nie potrafią odpowiednio zorganizować zajęć dla młodzieży, które w praktyce nie wykraczają poza szumne projekty akcji. Cóż z tego, że w wielu bibliotekach gromadzą młodzież stanowiąc polewo interesantów, jeżeli nie ma właściwie „niej książek.

Sądzę, że jest jeszcze jedna przyczyna hamująca dopływ wiejskiej młodzieży do szkół wyższych, mianowicie nieprzychylna po temu atmosfera. Byłe maturzysty z powiatowego miasteczka nosi się z pańska i pogardliwie obserwuje nieporadne poczynania kolegów ze wsi. Tę różnicę daje się odczuć, młodzież wiejska dostrzega lekceważenie i niechęć,

co z pewnością nie dopinguje do dalszych wysiłków. Etykieta „ze wsi” ma dla młodzieży charakter pogardliwy, to pojęcie łączy się z naiwnością i ograniczeniem, nie dziwnego, że nawet najzdolniejsi potrafią się zalać w takiej sytuacji. Te drobne na pozór przeszkody składają się w sumie niekiedy na zaporę nie do pokonania.

Jakie są drogi wyjścia z impasu? Oczywiście najprościej byłoby zastosować taryfę ulgową w odniesieniu do kandydatów ze wsi, ale to nie jest rozwiązanie. Byłoby to zupełnym zdeprecjonowaniem wartości wiejskiego społeczeństwa, które stał w zupełności na dorównanie mieszkańcom miast. Potrzeba nam dobrych lekarzy, świetnych agronomów, a taryfa ulgowa zawsze powoduje obniżenie poziomu.

Poprawa sytuacji powinna zacząć się od zmiany profilu nauczania w szkole wiejskiej, większego nastawienia na praktycyzm, na umiejętność samodzielnej pracy. Potrzebne są do tego doborowe kadry nauczycieli, których obecnie najlepszy element stanowią starzy pedagodzy, a tych mamy coraz mniej. Młodzi nie zawsze potrafili podjąć ogromnym zadaniem (zawsze wręcz nie chcą), i co niemiernie często zasklepiają się ciekawszymi, dostępnymi „Wniosek? Koniecznie potrzebni są nowi nauczyciele, pełni zapału i chęci do pracy, dla których właściwe wychowanie stanie się sprawą najważniejszą. Niestety, jak stwierdziliśmy poprzednio, brakuje kandydatów do pracy pedagogicznej na wsi, toteż wyjście z tego błędnego koła prowadzi

w instytucjach kulturalnych i oświatowych, których przecież na wsi brak, dla dziecka wiejskiego są często zupełnie niezrozumiałe. Biblioteka gromadzka nie zdola zastąpić kina panoramycznego, filmów oświatowych, wiesz nie styka się z problemami, które w mieście są na porządku dziennym. Zresztą istniejące na wsi ośrodki działalności kulturalnej nigdy nie ki działalności wykorzystane. W rezultacie dziecko wiejskie uczy się o wiele trudniej niż jego kolega w mieście, ta nauka jest nie zawsze przyjęta rozumowo, co prowadzi do nieumiejętności samodzielnego myślenia.

Dla młodego chłopca ze wsi już samo miasteczko, w którym mieści się liceum, jest „dzunglą”, nie potrafi znaleźć w nim miejsca dla siebie. Cóż dopiero mówić o mieście, do którego jedzie zdawać egzamin na wyższą uczelnię. Cała ta obca mu atmosfera uczelnia anuluje zasadę równego startu młodzieży wiejskiej i miejskiej. Koledzy ze wsi przyznali mi się, że początkowy okres studiów był trudny dla nich przede wszystkim ze względu na zmianę środowiska, na kłopoty terminologiczne i proceduralne. Trudno myśleć o nauce, kiedy nowy system nauki powoduje zamęt w głowie młodego studenta, który przecież nie umie samodzielnie pracować.

Piętno niezaradności, wyciśnięte przez szkołę podstawową, pozostaje na długo. Wynika ono nie tylko ze ziego ustawienia programu, często przecież ofiarny nauczyciel potrafi, mimo wszystko, wychować na wsi ludzi mądrych, zaradnych. Potrzeba jednak tutaj maksimum osobistego zaangażowania, dużej dozy poświęcenia, a przecież nauczyciel to też człowiek i ma prawo do życia osobistego. Najczęściej zresztą spełnia tyle funkcji, że nie jest w stanie zająć się

## CZARNO-BIAŁE SYMFONIE

(Dokończenie ze str. 8)

Dorobek twórcy Marii Rużyckiej jest bogaty i różnorodny. Artystka wypowiadała się bowiem nie tylko w malarstwie i drzeworycie. W puściznie artystycznej pozostawiła także sporo medycyrtów. Szczególnie miejsce w dziejach sztuki polskiej zawdzięcza jednak swym drzeworytom. Im właśnie należy poświęcić więcej uwagi. Przynależność Marii Rużyckiej do „Rytu” określa w pewnym stopniu jej twórczość. „Ryt” posiadał bowiem konkretny program twórczy i własną estetykę. Zdażając do wykształcenia w grafice odrębnego narodowego stylu sięgał do ludowości w treści i formie. Źródłem inspiracji była zwłaszcza prymitywna, płaszczyznowa i dekoracyjna sztuka ludowa kierująca się logicznymi prawami rytmu i równowagi. Obok tych tendencji treściowo-formalnych profil artystyczny „Rytu” wyznaczała surowa teoria rzemiosła charakteryzująca się niemal purystycznie pojmowaną dbałością o czystość artystycznych środków wyrazu, składających się na to, co określano wówczas „graficzną rasowością drzeworytu”. Wszystkie cechy formalno-warsztatowe „Rytu” znajdują wprawdzie wyraz w twórczości Marii Rużyckiej, dając świadectwo afirmacji programowych założeń tego

stowarzyszenia, ale dzięki silnej indywidualności twórczej artystki nie stają się one celem same w sobie, jak w pracach niektórych uczniów W. Skoczylasa, niebezpiecznie zawężających problematykę artystyczną do spraw rzemiosła. Dalekie od wszelkiej manier i powierzchownej stylizacji drzeworyty Marii Rużyckiej nie są pochodne. Naładowane spontaniczną posiadają walor autentyczności. Duża wrażliwość chroniła artystkę przed zbyt dużym ostudzeniem wyrazu pierwszej spontanicznej wizji w trudnym i skomplikowanym procesie powstawania jej negatywu na kloku lub desce, gdy dochodzą do głosu surowe rygory warsztatu.

Zgodnie z panującym wśród grafików obyczajem Maria Rużycka tworzyła zwarte tematycznie cykle drzeworytów dając wielostronny, pogiębiony obraz zjawisk dostrzeganych w różnych aspektach. To dostrzeganie zjawisk w ich dialektycznych związkach jest wyrazem emocjonalnego i refleksyjnego stosunku do rzeczywistości.

W latach trzydziestych powstały teki „Sport”, „Wies”, „Pejzaże” i „Dzieci”, częściowo później uzupełnione, a w latach powojennych „Zburzona Warszawa” (Eppur si muove), „Dzieci koreańskie”, „Impresje bułgarskie” i „Biecz”. Skala tematów nie jest rozległa, ale bardzo znamienita. Interesował artystkę człowiek spotykany codziennie, jego zwyczajne sprawy i wszystko, co go otaczało, architektura i krajobraz. W tej uwadze dla spraw prostego człowieka wsi (cykl „Wies”) i dla spraw smutnych, nie-

szcześliwych dzieci (cykl „Dzieci koreańskie”) zawarty został żarliwie ludzki podtekst.

Cykl poświęcony zburzonej Warszawie jest wstrząsającym dokumentem koszmaru wojennych zniszczeń i ludzkiego okrucieństwa. Powstał w psychologicznym klimacie zagrożenia. Wobec katastrofy dehumanizacji artystka przyjęła aktywną postawę protestu. Jej przerażenie przechodzi tu w krzyk buntu przeciwko przemocy i zagładzie. Tę ponurą kronikę ruin Warszawy widz odczytuje jako manifestację paacyfizmu.

Spółeczna w swych tendencjach, inspirowana konkretnymi sztukami Marii Rużyckiej jest przedstawieniowa i czytelna. Przedmioty zachowały dla artystki swój realistyczny sens i konkretne, przestrzenne wymiary. Twórczość jej nie ma jednak charakteru werystycznego. Maria Rużycka nie wprowadza wprawdzie do sztuki kształtów aluzyjnych i buduje kompozycje na zrębie tematu, ale redukuje je szczegóły i upraszcza formę. Upraszczenie i uogólnienie formy prowadzi do swego rodzaju typizacji człowieka, graniczącej niekiedy z deformacją („Juhas”).

W twórczości graficznej Marii Rużyckiej znalazły wyraz zainteresowania malarskie artystki. Drzeworyty jej zwracają uwagę niespotykanym bogactwem tonów bieli, szarości i czerni. Mocno różnicowane walorowo, a niekiedy gwałtownie skonstrastowane, mają duży ładunek ekspresji. Szczególnie interesował artystkę problem kontrastu światła i cienia, zarówno w odniesieniu do światła dziennego

i sztucznego. Przykładem są drzeworyty „W góralskiej chacie” i „Konie”. Rozjarzone, niemal eksplodujące bielą o postrzępionych konturach graniczą tu ze zmasowanymi blokami głębokich czerni. Całą wrażliwość na kolor, światło i atmosferę wyraziła zwłaszcza artystka w drzeworytach związanych tematycznie z architekturą. Chętnie przedstawiała zabytkowe kościoły, kaplice, wolno stojące wieże-dzwonnice, stare zamki, baszty warowne, malownicze zaułki i liryczne panoramy miasteczka.

Doskonała pod względem technicznym, ale daleka od oschłości grafika Marii Rużyckiej odznacza się rasowością métier. Artystka osiągnęła niezwykłą biegłość ryłca. Ślady jego na klokach są czyste i precyzyjne. Migotliwa faktura drzeworytów Marii Rużyckiej drga bogactwem wielokrotnych żłobin, równoległych duktów i spleątanych esowatych kolein, które są przeciwstawiane syntetycznym, rzadko kaleczonym drobnymi nacięciem, płaszczyznom. Formaty prac są niewielkie. Artystka uprawiała bowiem na ogół drzeworyt sztorcowy, rzadziej langowy.

Droga twórcza artystki jest prosta i konsekwentna, a obraz jej sztuki bardzo jednolity. Wprawdzie udaje się prześledzić stopniowe narastanie kondensacji formy, przechodzenie od szczegółowego do sylwetowego rysunku przedmiotów i wzmaganie środków ekspresji, ale te przemiany są wyrazem naturalnego rozwoju osobowości twórczej.

Irena Klak

## Kolekcjonerstwo

(Dokończenie ze str. 7)

Są w niej dwa przedmioty, które najbardziej leżą mi na sercu. Stary kielich, o którym wiem, że mój dziadek z niego winko popijał. Jedyna pamiątka rodzinna, na której mogę pamiętać ślad ręki mojej matki. I srebrna skrzyneczka, którą kupiłam przed wojną na Świętokrzyskiej. Widzę przed sobą, pełną wyrazu twarz okoloną sędziwą brodą starego handlarza i słyszę: „80 złotych. To moje ostatnie słowo. Sama prostota i elegancja. A ta ornamentyka?” — I wręczając mi kluczyczek uśmiechnął się, przymruższy jedno oko. „Może jakiś paperek zechce pani ukryć przed czyjąś ciekawością”.

Używałam jej jako cukiernicy. Ale był taki moment w czasie wizyty gestapo w naszym mieszkaniu. Na dnie pod słodyczami znalazł się pewien paperek ukryty przed groźną ciekawością. I powstanie przetrwała skrzyneczka przechowana dla nas przez zyciowych nam ludzi. W zawierusze wojennej straciła jedną nożkę. Kulejąca opiera się o szybę, kochana, ocалona.

W Warszawie i zresztą w całym kraju jest mnóstwo ludzi, którzy by mogli opowiedzieć moc anegdot i cale historie o ocалalych obrazach i dziełach sztuki. Największy materiał chyba posiada dyrektor Lorentz. Materiał ten wypełniłby grubą ilustrowaną książkę. Reprezentowałby w niej zarówno bohatera, jak i widza, bo to on właśnie wydzierał życie i śmierci o było najlepszego w polskiej kolekcji narodowej. Na zakończenie, jeszcze raz podkreślę to, co powiedziałam na początku. O wrodzonych cechach kolekcjonerstwa. Bo jeśli kogoś nie stać na dzieła sztuki,

ki, to zawsze może się zaopatrzyć w fakty historyczne, pamiętne daty, doświadczenia własne i cudze i każdy musi mi przyznać, że w naszym kraju, nie brak kolekcjonerów w tym zakresie.

Irena Parandowska

## Ceterum censeo

Książkę Jessie Conrad „Józef Conrad”, wydaną przed trzema laty w Krakowie, przeczytałem dopiero teraz z przykrością. Z przykrością, bo Wydawnictwo Literackie postarało się, aby rzecz prezentowała się ładnie: dobry papier, estetyczna oprawa w zielonkawo płótno angielskie, wszystko to godnie interesującej treści z wyjątkiem jednej nieblahej sprawy: zapomniano o adiustacji i korekcie. W polskiej wersji wspomnianego Jessie Conrad o mezu jest mnóstwo błędów językowych. Ze w Krakowie szuka się za książką (str. 174), to by jeszcze można zrozumieć. Ale zagadkowe jest, skąd się tam mogło wylegnąć tyle ruseyzmów.

A więc wychodzi się w niej komuś na spotkanie (str. 164, 174, 288), używa się zwrotu „tym nie mnie!” (169, 113, 207, 218), „kim by nie była ta osoba” (272), umieszczają się w zdaniu przydawkowym zaimek „nie” na punkcie którego (79), wieko kłótniku; do znajomości których (168), na rej (94), do znajomości których (168), na barki którego (196), zgon której (215), za przyjaźń którego (43); notoryczne „za wyjątkiem” (16, 51, 63, 95, 107, 127, 192, 211, 274, 276, 282, 217, 333, 337, 339, 344, 356, 464), poprawnie: z wyjątkiem tylko na str. 251 i 321. Procz tego h nie jest zgłoszka (172), ale głoska, nie mówi się „na synie” i „w synie” (222, 315), lecz „synu”, w zdaniu: „niezależnie, które nie da się odwrócić” (292), po przeczytaniu powinien być dopelnianiec, nie należy pisać „nie mniej jak” (406), lecz „nie” i wątpliwa jest polszczyzna zwrotu „w międzyczasie” (281). Zaprawdę po stokroć ma rację Jan Szelałg pisząc w swym felietonie (nr 30 „Nowej Kultury”) o obójnym stosunku, którym pracują. A mianowicie do języka. Nie slychać na ten temat zapalczywych sporów, ostrych starć, nie znać jakiegoś ogólnej społecznej troski!” Ceterum censeo linguam nostram esse purgandam.

Caius



## Widzi mi się

# Niesłusznie zapomniana książka

**J**UZ drugi rok bez Tatr! O ile w ubiegłym sierpniu Roztocze mogło być ich jakąś mikroskopijną namiastką, o tyle czekający mnie we wrześniu Nałęczów w niczym mi ich nie przypomni. Nie wstydzi się ekshibicjonizm pisać o nieprzeżytych do gór tęsknocie, na którą album tatrzańskie, fotografie i odpowiednia literatura są jakże znikomym lekarstwem. Wracam do ulubionych książek, przeglądam roczniki „Wierchów”, platonicznie wertuję mapę Zwolińskiego, a w związku z przygotowywaną pracą odczytuję na nowo listy związane z wydaniami przed wojną trzema górskimi numerami „Kamenu”.

Wśród tych listów kilka jak żywo przypomina mi okoliczności, w jakich korespondencyjnie zetknąłem się z ich autorem, otrzymałem od niego książkę, do której wracałem kilkakrotnie i poznałem jego smutny los tragicznie przypiętowany śmiercią w powstaniu warszawskim. Myślę o Janie Rzewnickim.

Wyobrazić sobie: miłośnik gór, wprawdzie nie taternik, ale turysta, który je schodził łatwiejszymi drogami wzdłuż i w poprzek, od r. 1936 porażony przewlekłą chorobą, która, jak pisał do mnie, „jest dla mnie katastrofą i to podwójną: raz wypędza mnie z Tatr, które tak kocham, po wtóre łamie we mnie talent literacki, ponoć niepośledni. Jest dla mnie też tragiczniejsze, że jestem człowiekiem już starym (67 lat), więc czasu mi już wiele na świecie nie zostało — późno niestety zaczęłam karierę literacką”.

„Czasu mi już wiele na świecie nie zostało...” Pięć z górą lat, ale jakież koniec! Nie przewidywał go w najstraszniejszych przypuszczeniach.

W pierwszym powojennym (XVII) roczniku wznowionych „Wierchów” z r. 1947 w długiej „liście osób zmarłych”, związanych tak czy inaczej z górami, figuruje też krótka, lecz jak straszliwie wymowna wzmianka następującej treści: „Rzewnicki Jan Adam ur. w r. 1871, turysta, członek dawnej Sekcji Turystycznej PTT, autor wspomnień o Tatrach oraz 8 tomów pamiętników tatrzańskich zachowanych w Muzeum Tatrzańskim SPALONY ŻYWCEM PRZEZ NIEMCÓW (podkreśl. moje) we wrześniu 1944 r. w powstaniu warszawskim”. Ach, raczej by zginął z wyczerpania w Tatrach, czego był już tak bliski pod Walentkową w swej ostatniej z wycieczek opisanym w książce (rozdział „Sen nocy letniej”)...

Z zawodu matematyk, inżynier-elektryk, językoznawca polski, członek różnych komisji językowych, autor dramatów historycznych, z których „Stanisław August” ukazał się na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, a przede wszystkim autor niesłusznie zapomnianych dzisiaj rozkosznych gawęd „Moje przygody w Tatrach — uśmiechy i deszcze” (Warszawa, 1938, nakładem księgarni F. Hoesicka).

O tych „Przygodach” pisałem w 60. górskim n-rze „Kamenu” (1939 r.) m. in.: „...z kart książki bije szczerze i głębokie umiłowanie Tatr, a wrażenia są skreślone żywo, dowcipnie i choć stylem gawędziarskim, niemniej jednak ładną polszczyzną. Szczególnie udaje się autorowi oddać pogodny nastrój wycieczek, tych wszystkich drobizgów, które się nań składają (zulaszcza gdy się w góry idzie we dwoje), tych kłopotów obuwiających czy gastronomicznych, tych gubień ścieżek i znaków, tych przekomarzań się wzajemnych. Ale przez „uśmiechów” spotykamy w „Przygodach” i „deszcze” najżywiej przemawiające z kart dramatycznych wspomnień zatytułow-

nych „Krew”. Oczywiście zastrzeżenia moje dotyczące „stylu gawędziarskiego” było niesłuszne, dziś wiem, że w dużym stopniu temu stylowi książka Rzewnickiego swój urok zawdzięcza. Ale dufny wtedy w swe, pozał się Bóg, doświadczenia i zdobyte górskie miłośnika w stosunku do autora i inne zastrzeżenia: odnosiłem się z wyższością do „ceperskiego”, jak to określiłem, stosunku Rzewnickiego do Tatr.

O tej książce pisał również w XVI roczniku „Wierchów” J. A. Szczepański: „Rzewnicki jest przemitym gawędziarzem i facecjonistą, którego (tu pewna złośliwość recenzenta — przypis. mój) skrzywdziły losy nie dające mu chodzić po Tatrach w ub. wieku... atmosfera w nich panująca, cały stosunek człowieka do gór, żywcem przenoszą nas w szanowne czasy sześciu wydań Eliasza (dziewiętnastowieczny autor przewodników po Tatrach — przypis. mój)”. Ale i krytyczny Szczepański, lekceważąc spoglądający na Rzewnickiego z wyżyn swych tatrzańskich, alpejskich, atlaskich i andyjskich osiągnięć, musi przyznać: „Zaletą wspomnień jest brak sztucznego patosu, żywy tok opowiadania, uśmiechy częstsze niż deszcze”.

Dzisiaj książkę Rzewnickiego, wiedząc o jego tragicznym i jakże niedługim końcu, czytamy z rozrzedzeniem. Czytałem ją czasu wojny po powrocie z obozu, by wywołać wizerunek oglądanych tak długo Tatr, czytałem i potem jeszcze i teraz przed miastem, i mimo zastrzeżeń co do jej „ceperskości” (wszystko jest względne: d... Skoczylasom et consortibus „ceperskie” wydać się mogą niejedne „bujdaiki” przedwojennego „Taternika”) patrząc na książkę Rzewnickiego, jako na obraz najszybszych przeżyć i wzruszeń autora, umiającego przekazać je czytelnikom, uważam ją za jedną z ciekawszych pozycji literatury tatrzańskiej. A piękna, jędrna polszczyzna autora sprawia prawdziwą rozkosz. Któres z naszych wydawnictw koniecznie powinno wznowić „Przygody”. I nie tylko wznowić, ale i rozszerzyć, bo jak autor do mnie pisał, pamiętnik jego (który szczęśliwie ocalał i, jak wiadomo, znajduje się w Muzeum Tatrzańskim) zawiera z górą 4000 pisanych stron. Jest więc w czym wybierać. A oplaci się. Książka przy dzisiejszym masowym ruchu turystycznym cieszyłaby się ogromnym powodzeniem. A przestrzegając przed lekceważeniem niebezpieczeństwa i lekkomyślną bez troską w górach mogłaby także spełnić poważną rolę dydaktyczną.

X. Rovay

## AFISZ WG PROJEKTU HENRYKA ZWOLAKIEWICZA

W STOPIEC DZIESIĄT ROKNICE  
URODZIN



28-VII-1962 R.

MUZEUUM JOZEF AIGNACEGO  
KRASZEWSKIEGO

ROMANOW  
WOJ. LUBELSKI

# O ustroniu waśni i kądzieli

(Dokończenie ze str. 5)

Akcja „Króla zamczyska” przypada na lata czterdzieste XIX wieku. Bohaterem utworu jest naprawdę zamieszkuje ruiny Machnick, poborca skarbowy, którego sprawowanie urzędu w Dukli przyparowało o wariatwo. Obłąkany samozwaniec, nazwany przez siebie królem zamczyska, a przez Goszczyńskiego Machnickim, otrzymał, jak twierdzi, władzę z rąk Chrobrego. W ruinach zamku widzi wspaniałą przeszłość Korony i uważa siebie za osobę predestynowaną do prowadzenia — wraz z dającym mu natężenie do dalszych poczynań Stańczykiem — duchowych dzieł ojczyzny. Zamek kocha bezgraniczną miłością. Według modelu Goszczyńskiego, Machnicki jest niezwykle ekscentryczną i urastającą do symbolu bohatera narodowego postacią, która wcieliła w sobie najistotniejsze myśli, jakimi powinno żyć współczesne pokolenie.

**N**IESPEŁNA dwa kilometry na wschód od Odrzykoniu oddalone są piaskowcowe skały ciężkowickie — wieki eocenkiego, powstałe w wyniku erozji i wietrzenia, fantastycznie ukształtowane. Noszą nazwę Prządki i stanowią rezerwat przyrody.

Jedno z kilku podań o Prządkach jest krótkie i często można je usłyszeć w tych okolicach: trzy siostry miały tak wielkie zamiłowanie do kądzieli, że przedły nawet w niedzielę i święta, za co wyległa je matka i dlatego skamieniały.

Inna opowieść jest dłuższa, bardziej romantyczna i wiąże się z dziejami zamku. Wyczytać ją można w niewielkiej książeczce wydanej przed wojną w tych stronach. Nie wiadomo bowiem, kto wówczas był panem na zamku. W każdym razie miał trzy dorodne córki, które bardzo lubiły prządkę i z tego względu nazywano je Prządkami. W jednej z nich zakochał się obcy rycerz. Przybył on tutaj z dalekiego kraju wraz ze swoim czarnoksiężnikiem. Rycerz miał zamiar pozyskać wybraną dziewczynę. Wkrótce dostał się do zamku, był na uciecie, został zaproszony na polowanie. Na łowy wybrał się prawie wszyscy, pozostawiając

w zamku tylko Prządki pod opieką czarnoksiężnika. Myśliwi długo nie powracali, więc zaniepokojone Prządki zapragnęły wyjść na ich spotkanie. Zagłębiły się daleko w knieje i tutaj nagle spostrzegły zbójców, którzy uporawszy się z myśliwymi, zdążyli właśnie, aby porwać Prządki i ograbić zamek. Wśród borów nastąpiła pogon zbójców i rozpaczliwa ucieczka dziewcząt. Wierchowce Prządki ustąpiły wytrwałym koniom, rozbiły się niedaleko zamku, na szczycie ostatniego wzniesienia. Czarnoksiężnik, nie chcąc wydać Prządki w ręce awanturników, zaklął je w kamienie, a sam zapadł się pod ziemię.

Ruiny zamku odrzykońskiego i Prządki nieustannie ożywiają wyobraźnię odwiedzających, pobudzają twórczo. Przykładem tego niech będzie „Ballada o miejscu odartego konia” Mirona Białoszewskiego, czy też widowisko „Prządki”, oparte na legendzie o skamieniałych dziewczynach, w wykonaniu zespołu amatorskiego w Lużnej w powiecie gorlickim.

A czy nie należałoby się narzeczeń pokusić kiedyś o zrealizowanie imponującej inscenizacji „Zemsty” w ruinach zamczyska odrzykońskiego?

Stanisław Lipiński

\* Wojciech Byczek: „Zamek odrzykoński”. Nakładem J. Pelczara i S-ki, Jasiel 1928.

Literatura:

- A. Fredro: Zemsta. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1936. Pisma wszystkie, komedie, seria pierwsza, VI.
- S. Goszczyński: Król zamczyska. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa.
- J. Borkowski Dunin: Almanach błękitny. H. Altenberg, Lwów.
- I. Chrzanowski: O komediach Aleksandra Fredry. Nakładem Akademii Umiejętności, Kraków 1917.
- Dzieje literatury pięknej w Polsce. Wyd. drugie. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków t. I. 1935, t. II. 1936.
- Ilustrowana monografia powiatu krośnieńskiego oraz przewodnik turystyczny powiatu Krosno i okolice. Wyd. PTTK Oddział w Krośnie 1937.
- J. Krukier: Przewodnik turystyczny po Krośnie i okolice. Nakładem autor. Krosno 1936.
- St. Pigon: Wśród twórców. Wydawnictwo M. Kota, Kraków 1947.
- T. Zelenki-Boy: Obrachunki przedrośki. „Książka i Wiedza”, Warszawa 1949.
- Informacje uzyskane w Wydziale Rolnictwa i Leśnictwa Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie — Składnica Geodezyjna.

# NOTY

**PO ZALOŻONYM LUTYM — SIERPIEŃ.** Jak w tegorocznym lutym pisma nasze były wypełnione artykułami i wspomnieniami o Broniewskim, tak teraz w sierpniu — o Leonie Kruczkowskim. Smutny rok dla polskiej poezji, powieści i dramaturgii. Poważne wyrwy w naszej literaturze. „Jak mamy bronić się przeciwko temu okrucieństwu” — pyta Putrament w n-rze 32 „Przeglądu Kulturalnego”. I odpowiada: „stara recepta: zwrócić się do „odwołac się do młodych”.

**POSTACI DWÓCH ZMARŁYCH** przysłoniły nam niedawne odejście Melanii Kierczyńskiej, a także Haliny Marii Dąbrowskiej i Stefani Podhorskiej-Okolow, których utwory drukowaliśmy w swoim czasie w „Kamieniu”.

**20-LECIE ŚMIERCI JANUSZA KORCZAKA** uczcilo radio i telewizja. Głos Ełż. Barczewskiej, która wzięła udział w radiowej audycji dla dzieci o „starym doktorze”, brzmiał szczerym wzruszeniem, gdy artystka czytała część tekstu związaną z legendarnym (choć prawdziwym) pochodem ku śmierci Wielkiego Człowieka prowadzącego tą drogą swych małoletnich wychowanków. Pisma literackie zapewne uczczą w najbliższych numerach tę tragiczną rocznicę.

**ZBLIŻA SIĘ** stulecie wybuchu powstania styczniowego. W związku z tym spodziewać się należy wydania licznych pozycji związanych z tym wydarzeniem historycznym. Na razie ukazały się „Moje wspomnienia” Jadwigi Prędowskiej i wznawiona powieść Marii Jehanne Wielopolskiej „Kryjaki”. Przypomniemy o pięknej książce Juliana Woloszyńskiego „Rok 1863” wydanej pod koniec dwudziestolecia, której bezsprzecznie należy się reedycja.

**MONTHERLANT O „QUO VADIS”**. „Życie Literackie” (nr 32) zamieszcza interesujące zwierzenia pisarza francuskiego na temat tej „powieści znielawionej”. Prze-

czytał tę książkę jako ośmiolatek dziecko i stała się ona „jednym z najważniejszych wydarzeń” w jego życiu. „Było to objawienie sztuki pisania i objawienie tego, czym jestem”, wyznaje Montherlant. „Twierdzi, że „Quo vadis” nie jest wielkim dziełem, ani nawet wielką powieścią, lecz jest to bardzo dobra powieść, która w pełni zastępuje na obryzm sukces, z jakim ją przyjęto”. „Na „Quo vadis” nauczyłem się pisać”. Wreszcie ciekawe spostrzeżenie: „Ukazało mi ono (...) obraz pewnej epoki historycznej dość podobnej do epoki, w której miałem żyć, gdyż obie w miarę nagromadzenia się ich niepotrzebnie pokrywają się ze sobą. Rok 1864 przygotowuje mnie do życia w latach 1920—1937”. (...) „Spoleczeństwo, często stry rządzące — nikczemne. Świat, w którym rodzi się wielki przewrót społeczny. Świat szalony. Świat niebezpieczny; niejednokrotnie będzie się w nim sypały groźny pomruk lwów, jaki przerywał gruchanie molosne Ligii i Winicjusza”.

**GŁOWA NIEZUPEŁNIE PODWAŁSKA.** Pisząc w kolejnym felietonie krakowskim („Życie Literackie” nr 32) o Kisiele, Ryszard Kosłowski dowcipnie (czasem z prawną dozą nieszkodliwej złośliwości) uzasadnia „wawelskość” tego w gruncie rzeczy warszawianina, który jednak po Kraus był w dużym stopniu związany z Krakowem. Kosłowski przypomina o stryja Kisiele — Janie Auguste, autorce komedii „W sieci” i „Karykatury”. Ale po co sięgać do dalszych koligacji literackich autora „Sprzysiężenia”? Przecież ojciec pisarza, Zygmunt Kisielewski, był powieściopisarzem i nowelistą, o czym Kosłowski nie wspominał.

**W ROKU 1961** Wielka Brytania i cały świat kulturalny obchodzić będzie 400-lecie urodzin Szekspira. W związku z tym powstała już komisja mająca zająć się przygotowaniem wielkiego festiwalu sztuki genialnego dramaturga. Nakładem „Writers and Their Work” zaczęły się już ukazywać nowe eseje o twórcy „Hamleta”.

**ZMARŁ ZNANY PISARZ ANGLIJSKI** Richard Aldington, autor między innymi powieści „Śmierć bohatera” i „Wszyscy ludzie są wrogami”.

— kaj —

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” \* Redaguje Kolegium: Waldemar Babinić, Maria Bechcyc-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Aleksander Gabrusiewicz, Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśniarowicz, Anna Tatarkiewicz \* Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c \* Telefon 36-45 \* Redakcja rękopisów nie odsyła \* Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonują się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-10024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 3328. 14.VIII.62. 118/D-3.